TYDZIEŃ

Nr 33 (57) ROK II

17. VIII. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: Tadeusz Cieślewski (syn), Edward Ligocki, Kpt. Ognisty, Karol Małcużyński, Jan Śpiewak, Laryssa Zajączkowska

NASZA OKŁADKA



Rys. W. Chmielewski

DOŻYNKI

tak i nie

Jak zostać ministrem?

JEDEN z profesorów angielskich dostarczył swym współrodakom receptę na powodzenie. Sprawa jest właściwie prosta. Jest to tylko kwestia zdolności.

— Jeśli nie możecie dokonać czegoś sami — powiada profesor — spróbujcie się nauczyć. Jeśli to przerasta wasze siły, nauczcie się, w jaki sposób trzeba się nauczyć. Jeśli nie jesteście nawet zdolni do nauczenia się, zostańcie inspektorami. Jeśli nie możecie się zdobyć i na inspektora, zostaje wam jeszcze stanowisko — organizatorów. A jeśli nie jesteście już nawet zdolni do organizowania, wówczas zostaje wam jedyna deska ratunku: starajcie się zostać ministrem.

Zemsta Hollywood

W KOMUNIKATACH radia angielskiego i amerykańskiego tuż obok słów tak poważnych jak Indonezja, Plan Attlee, Plan Marshalla, zjawiło się nagle i niespodziewanie słowo nowe: Hollywood. Można byłoby zdziwić się: cóż ma wspólnego stolica filmu z wielką międzynarodową polityką? I oto okazuje się, iż sprawa jest niezwykłej wagi.

Jak wiemy, oszczędnościowy plan Attlee, mający uzdrowić gospodarkę angielską i uratować Wielką Brytanię przed grożącym jej kryzysem, przewiduje ograniczenie importu filmów amerykańskich i nakłada na filmy te podatek w wysokości 75% od dochodu.

Amerykańskie Towarzystwo Filmowe natychmiast zatrąbiło na alarm. Odbyło się trzygodzinne posiedzenie potentatów filmowych, które uchwaliło bojkot filmów produkcji angielskiej na terenie Stanów Zjednoczonych. Jak się okazuje, podatek proponowany przez premiera Attlee ograniczyłby zyski filmowców amerykańskich o 50%. Okazuje się także, iż w warunkach pożyczki amerykańskiej dla Anglii, których ciężar jest jedną z główniejszych przyczyn obecnego kryzysu Wielkiej Brytanii, eksport filmów amerykańskich do Anglii odgrywa niezwykle poważną rolę. Filmowcy Hollywood postanowili zwrócić się do ministra Marshalla z żądaniem interwencji, gdyż podatek filmowy podważa — według ich zdania — podstawowe zasady amerykańskiej pożyczki.

Zamknięcie rynku amerykańskiego dla filmów angielskich stanowiłoby poważny cios dla produkcji angielskiej. Troska o własne kieszenie każe jednak amerykańskim filmowcom zamknąć oczy na wszystkie trudności, jakie przeżywa naród angielski. Hollywood wypowiedział wojnę angielskiej gospodarce. Jaki będzie wynik tego starcia? Czy Anglicy będą zmuszeni do rezygnacji z importu żywności i potrzebnych im surowców za cenę oglądania nie zawsze pełnowartościowych amerykańskich filmów?

Zobaczymy...

W Ameryce stwierdza się brak...

WOJNA zmusiła Stany Zjednoczone do gwałtownej eksploatacji złóż mineralnych. Pewne pokłady — i to najbardziej dotychczas wartościowe — znajdują się na drodze całkowitego wyczerpania. Co do innych złóż przewiduje się, że koniec okresu ich eksploatacji jest o wiele bliższy, niż się tego było można kiedykolwiek spodziewać. Ewentualne rozpoczęcie nowych wierceń przyniosło by olbrzymią zwyżkę cen.

Te właśnie fakty zostały stwierdzone przez jedną z trzech komisji, którym prezydent Truman polecił przeprowadzenie planu Marshalla.

Specjaliści od bogactw naturalnych kraju, zebrani przez ministra spraw wewnętrznych, Krugga, dali obraz sytuacji nieznanej dotychczas zupełnie opinii publicznej.

Najbardziej poważny problem przedstawiają złoża naftowe. Podczas wojny Amerykanie wydobyli ponad osiem miliardów ton nafty.

Przy takiej produkcji zapasy ich zostały wyczerpane w ciągu mniej więcej dziesięciu lat. W ten sposób Ameryka, dotychczasowy wielki eksporter, stałaby się w najbliższym czasie uzależniona od zagranicy. Import nafty, który w roku 1937 przekraczał zaledwie 2 proc. ogólnego importu, osiągnął już trzy lata temu 6 do 7 procent.

Sprawa rudy wyglądała również nie najlepiej. Wojna kosztowała Stany Zjednoczone pięć milionów ton rudy wszelkiego rodzaju. Ołów, którego USA były wielkim eksporterem, staje się rzadkim. To samo dotyczy miedzi, chociaż w mniejszym stopniu. Zaznaczył się również spadek produkcji „rzadkich" metali, które wchodzą w skład specjalnych stopów stali. Już teraz Ameryka importuje 80 procent azbestu, miki i tunstenu. Braki w dziedzinie cynku, kobaltu, niklu i chromu są dotkliwe.

Sytuacja staje się tym bardziej paradoksalna, że Stany Zjednoczone obecnie dążą całą siłą do zwyżki potencjału przemysłowego. Rozwój techniczny wymaga zwiększenia zapasów tych produktów, których Stany Zjednoczone pozbawione są zupełnie jak uran czy thor.

Coraz bardziej jaskrawym, na tle tej sytuacji, staje się fakt, że Stany Zjednoczone zamieniają się z kraju eksportującego na kraj importujący.

I pod tym kątem widzenia nowych aspektów nabiera plan Marshalla, w którym — i to staje się coraz bardziej wyraźne — chodzi przede wszystkim o pomoc Ameryce.

Tegoroczne zbiory

WEDŁUG danych, jakie w chwili obecnej są dostępne tegoroczne zbiory zbóż na całym świecie będą w globalnej sumie mniej więcej na poziomie przedwojennym. Jednak ciężar produkcji został przesunięty. Zbiory w całej Ameryce, a więc zarówno w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie jak i w Argentynie zapowiadają się rekordowo. Również Związek Radziecki ma niezwykle dobre zbiory. Natomiast Francja zwiezie do stodół i magazynów zaledwie jedną czwartą część normalnych przedwojennych zbiorów. Sytuacja we Włoszech, Belgii i na półwyspie pirenejskim jest bardzo krytyczna. Również Grecja i Rumunia znajdą się w przyszłym roku w trudnej sytuacji żywnościowej. Czechosłowacja liczy na przeciętne zbiory, Węgry i Bułgaria będą miały dobre, a Jugosławia niezwykle dobre urodzaje.

Nieco gorzej przedstawia się sprawa na odcinku kukurydzy, która jest niezmiernie ważna jako pasza. Wskutek olbrzymich powodzi w środkowo - zachodnich Stanach Ameryka zbierze zaledwie 25 do 35 procent kukurydzy. W Europie Rumunia, główny producent kukurydzy liczy się z nieurodzajem.

Rok przyszły nie przyniesie więc jeszcze rozwiązania kłopotów chlebowych na całym świecie, choć niewątpliwie sytuacja uległa poważnej poprawie.

Ostrze na ostrze

WSZĘDZIE DOBRZE...

— I jak wy możecie tu wytrzymać, w tej Warszawie?! — dziwiła się pewna moja znajoma, wsuwając w kawiarni z apetytem trzecie ciastko z kolei. Kilka miesięcy temu wyjechała z mężem za granicę i obecnie raczyła odwiedzić ubogą ziemię przodków.

— Bo u nas, w Budapeszcie... — w tym miejscu zaczęła się, recytowana tonem niezmiernej wyższości, długa seria niedoścignionych zalet i powabów budapeszteńskiego życia. A jednak... Mimochodem dowiedziałam się także — na marginesie, w rubryce spraw nieistotnych i mało ważnych — że herbatę słodzi się tam miodem z braku cukru, że nie ma mowy o maśle, że materiał wyprany w ciepłej wodzie rozpływa się w nicość, niczym pożyczka amerykańska dla Węgier — i tak dalej, i tak dalej.

— Bo u nas, w Paryżu... — zaczyna nieodmiennie każdą mniej lub więcej dystyngowaną konwersację towarzyską jeden z moich znajomych, który po dłuższej wycieczce krajoznawczej zdecydował się mimo wszystko powrócić do domowych pieleszy — przynajmniej jest gdzie na dancing pójść. A kawiarnie... — miażdżąco lekceważący ruch ręki unicestwił cały gigantyczny wkład naszej rodzimej inicjatywy prywatnej w dzieło odbudowy stolicy.

Gdybym porównała poziom wypowiedzi mojego rozmówcy z poprzednio zasłyszaną węgierską rapsodią, obraziłby się śmiertelnie. Co za nonsens: ta kobietka o ptasim móżdżku, przystrojonym w ptasie piórka — i on, wielki, niedoceniony umysł, który o tyle tylko miał pecha, że mu koło historii przez omyłkę czy przez złośliwość przejechało po palcach?!

A przecież — i ona i on, i nie ona jedna i nie on jeden — przysłuchajmy się tylko uważnie rozmowom naszych znajomych, wracających po dłuższym czy krótszym pobycie z zagranicy — nie potrafią się oprzeć pokusie, by nie poklepać kochanych rodaków, ciemnych domatorów, protekcjonalnie po ramieniu.

— Moi drodzy, u nas, w Patagonii...

Jest to zjawisko niemal że powszechne. I smutne. Nie o to bowiem chodzi, żeby nie jeździć za granicę. I nie o to, by nie patrzeć krytycznie na to „tam" i na to „tu". Nie chodzi o to też, by jak pliszka tylko swój ogonek chwalić i — wpadając w drugą ostateczność, krótkim „oni nas uczyć nie będą" — odciąć się od świata, zaskorupieć w swoim kraju i obyczaju.

Co kraj to obyczaj — mówi stare przysłowie. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma — można dodać jeszcze drugie ironiczne powiedzonko i to oddałoby wiernie istotę rzeczy: nonsensowność wszelkich wniosków, wysnutych z powierzchownych obserwacji i porównań.

Aby sądzić, aby porównywać, trzeba rozumieć. Rozumieć, jak różne były drogi historii różnych narodów — naszego i tych innych, jak różne były i są warunki ich życia i rozwoju. Potem dopiero można przesortować: jakie rzeczy dobre i pożyteczne, jakie zdobycze i zwyczaje u nas, w naszych warunkach dałyby się przeszczepić z gruntu obcego na nasz własny.

Prawda to, że dobrze, gdzie nas nie ma. Dobrze, ale dla tych, co tam są. Bo tak już jest, że Węgier, choć może i marzy o naszym maśle i cukrze, wróciłby mimo wszystko do swojej puszty i też by mówił swoim rodakom:

— Bo tam, w Warszawie... — ale wróciłby na Węgry. Bo tam się czuje jednak najlepiej.

I Anglik do Anglii, choć w Polsce są jajka, a w Londynie ich nie ma. I Francuz do Paryża. I warszawiak do Warszawy, choć gdzie indziej stoją szeregami nietknięte domy. Bo jest rzeczą arcyludzką mieć swoje miejsce na ziemi.

Pewien australijski polityk powiedział niedawno, że gdyby otwarto bez ograniczeń Europejczykom bramy na świat i dano dostateczną ilość okrętów, wszyscy uciekliby z Europy. Nie sądzę. A jeżeli nawet, to wróciliby bardzo prędko z powrotem. W myśl zasady: wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Z uczuciem człowieka, który, nawędrowawszy się po obcych hotelach, kładzie się z przyjemnością do swojego, może nawet niezbyt wygodnego łóżka.

Nie wiadomo tylko, czy nie musieliby wyganiać z niego nieproszonych lokatorów. Bo Niemcy na pewno nie uciekliby z Europy. Wiedzą, co dobre. A taka okazja!

Więc lepiej siedzieć w domu. A z zagranicznych wycieczek przywozić rodzinie zamiast śmieci i tandety istotniejsze wartości, pasujące do naszego mieszkania i umeblowania.

AVIS

Cyfry mówią

OFICJALNIE ogłoszone statystyki amerykańskie podają następujące dane o drożyźnie w Stanach Zjednoczonych. Od chwili zniesienia kontroli cen do 31 maja 1947 r.

gaz, elektryczność itp. zdrożały	o 30%
produkty rolne	o 27%
żywność	o 43%
inne	o 26%

W tym samym czasie według danych Federal Reserve Bulletin 629 największych przedsiębiorstw amerykańskich osiągnęło następujące zyski:

I kwartał 1946 — 323 miliony dolarów
II kwartał 1946 — 604 miliony dolarów
III kwartał 1946 — 698 milionów dolar.
IV kwartał 1946 — 941 milionów dolar.

Marshall ma kłopoty z garderobą

WYDARZONKA dziejące się na marginesie wielkich spraw są niejednokrotnie niezwykle interesujące. Wejście w sferę wielkich wydarzeń przez schody kuchenne pozwala dowiedzieć się niejednokrotnie ciekawej plotki. Jedna z takich autentycznych plotek odnosi się do Marshalla w związku z jego wyjazdem na konferencję moskiewską. Przed wyjazdem do Moskwy kazał on mianowicie przedłożyć sobie wykres temperatur wiosennych w Moskwie, aby na tej podstawie rozstrzygnąć, czy należy brać z sobą długie wełniane kalesony, czy nie. Złośliwi twierdzą obecnie, że przy wyjeździe do Berlina Marshall nie będzie się zupełnie potrzebował martwić sprawami swojej garderoby. Niemcy są bowiem zawsze gotowi do skrojenia spodni.

Drapacze chmur w Moskwie

W TOKU prowadzonej odbudowy Moskwy, stolica Związku Radzieckiego uzyska kilka nowych drapaczy chmur o 15, 26 i 32 piętrach. W tym fakcie nie ma nic szczególnego, gdyż we wszystkich wielkich miastach stosuje się obecnie rozwiązanie pionowe dla całego szeregu budowli o specjalnym przeznaczeniu. Drapacze chmur, jakie są wznoszone w Moskwie, różnią się jednak tym od swych zagranicznych wzorów, że będą architektonicznie ściśle związane z panoramą Moskwy, a nie będą ślepym naśladownictwem rozwiązań budowlanych przystosowanych do innych warunków klimatycznych i linii urbanistycznych.

Przy budowie zos[illegible]e zastosowanych szereg nowych wynalazków, a w szczególności ramy okienne z aluminium i ścianki działowe z płyt gipsowych lub ceramiki.

tak i nie STRONA 4

Laryssa Zajączkowska

CHLEB I POLITYKA

SŁOWO chleb, powtarzane we wszystkich językach świata, stało się jednym z zasadniczych składników powojennego słownika dyplomatycznego. O chlebie, o żywności mówi się na konferencjach w Paryżu, Londynie, Moskwie i Nowym Jorku. Węgiel, nafta, chleb — Wielka Trójka — łagodzą i zaostrzają międzynarodowe konflikty, spory i różnice.

W memorandum, złożonym przez ambasadora Winiewicza ministrowi Marshallowi również była mowa o chlebie. Memorandum to spowodowane zostało skreśleniem Polski z listy państw, które skorzystać mają z pomocy Stanów Zjednoczonych w ramach przyznanej na ten cel przez Kongres sumy 320 milionów dolarów.

Odmowna dezycja amerykańskiego Departamentu Stanu opiera się na raporcie specjalnego wysłannika, pułkownika Harrisona, który ocenił naszą sytuację żywnościową jako zadowalającą.

CZY tak jest w istocie? Sam wspomniany wyżej raport, nie daje na to pytanie właściwie konkretnej odpowiedzi. Stwierdza jedynie, iż import zboża do końca 1947 roku nie jest konieczny. Sprawa wyżywienia ludności od stycznia 1948 roku — pozostaje otwarta.

Przewidywania fachowców, które potwierdzi zapewne ostateczny wynik tegorocznej akcji żniwnej, wskazywać się zdają na to,iż niestety zbiory nie przekroczą rezultatów zeszłorocznych. Wysiłek nasz, wyrażający się w obsianiu o 30% więcej obszarów zbożowych niż w ubiegłym sezonie, zniweczony został przez warunki atmosferyczne: ostrą zimę, powódź wiosenną i posuchę w okresie dojrzewania zbóż. Oznacza to zwiększenie przewidzianego w planie trzyletnim niedoboru 156 tysięcy ton zbóż chlebowych. Oznacza to dalej — sięgnijmy do sprawozdania sekretarza ONZ Trygve Lie, bynajmniej nie pokrywającego się z raportem płk. Harrisona—że przydział na głowę mieszkańca wyniesie około 260 gramów chleba dziennie, zamiast planowanych i koniecznych — 400 gramów. Deficyt nasz wynosi około miliona ton i tyle właśnie mieliśmy uzyskać z pomocy amerykańskiej.

W tej sytuacji zarysowują się dla nas dwie możliwości. Import moglibyśmy pokryć, zwiększając wywóz takich artykułów jak jaja, cukier, bekony czy przetwory ziemniaczane—spowodowałoby to jednakże ograniczenie spożycia tych artykułów w kraju. Obrócenie na ten cel środków zdobytych z eksportu węgla i wyrobów przemysłowych nie jest możliwe; zachwiałoby ono bowiem podstawowe obliczenia od budowy naszego przemysłu, a tym samym godziłoby w plan trzyletni.

A zatem — ograniczenie spożycia?

Tzw. zaciskanie pasa, o ile nie da się temu zapobiec, postawi nasz naród w obliczu próby. Dotychczasowa postawa naszego świata pracy, wysiłek odbudowy, pełen poświęcenia i samozaparcia, zyskały uznanie nawet w oczach płk. Harrisona. Ona to właśnie tworzy to złudne wrażenie, że w Polsce jest lepiej, niż gdzie indziej.

Jest jednak pewien kres ludzkiej wytrzymałości. Organizm narodu, wyczerpanego wojną, okupacją, ciężkim okresem pierwszych lat powojennych, wymaga gwałtownie poprawy warunków bytu, jeśli dotychczasowe tempo odbudowy, zdolność do pracy, mają być utrzymane i podniesione na wyższy szczebel.

TEGO podniesienia wymaga nie tylko interes Polski. Wymaga także zadanie odbudowy zniszczonej Europy. Zdolność produkcyjna narodu polskiego, podtrzymana przez pomoc zagraniczną w chwili decydującej, może stać się poważnym czynnikiem rozwoju gospodarki międzynarodowej. Osłabiona — może opóźnić ten rozwój. Pomoc dla Polski nie jest bowiem wkładem w konsumcję, a inwestycją w dalszą produkcję. Zrozumienie tego faktu nie jest obce obiektywnym kołom gospodarczym, które wyraziły swój pogląd w przedłożonym przez Trygve Lie sprawozdaniu.

Zdajemy sobie sprawę, że problem nie jest łatwy. Jeśli się przyjrzymy ogólnej sytuacji żywnościowej na świecie, uderzy nas cyfra niedoboru przeszło 18 milionów ton zboża, gdy weźmiemy pod uwagę potrzeby wszystkich krajów tzw. deficytowych.

Nadwyżki posiadają następujące państwa:

Argentyna — 5.500.000 t.

Australia — 1.650.000 t.

Kanada — 8.000.000 t.



Fot. Film Polski

...A oto płk. Harrison, szef misji amerykańskiego Ministerstwa Rolnictwa — człowiek, który napisał w swoim raporcie, że Polska ma dosyć zboża do końca 1947 roku. Waszyngton wysnuł z tego dziwne wnioski...

St. Zjednoczone — 14.500.000 t.
Zw. Radziecki, Turcja, Brazylia i inne — 2.500.000 t.

W sumie łącznie nadwyżka wynosi 32.150.000 t.

Zgłoszone zapotrzebowania wynoszą 50 milionów ton, według następującej tabeli:

Austria — 872.000 t., Belgia — 872.000 t., Dania — 400.000 t., Francja — 3.500.000 t., Niemcy (strefy angielska, amerykańska i francuska) — 5.000.000 t., Irlandia — 765.000 t., Włochy — 3.261.000 t., Holandia—2.000.000 t., Szwecja — 800.000 t., Szwajcaria — 1.000.000 t., Grecja — 1.000.000 t., Anglia — 7.000.000 t., Polska — 1.000.000 t., Czechosłowacja — 1.000.000 t., Finlandia 615.000 t., Rumunia 222.000 t., Węgry około 40.000 t., Jugosławia, która otrzymała w ubiegłym roku 30.000 t. zamiast zgłoszonej ilości 1.000.000 t.

Poza Europą Indie potrzebują około 5 mil. t., Japonia 2.5 mil. t., Południowa Afryka pół miliona t. itd.

PRÓBY rozwiązania trudności, polegające na różnicy między nadwyżką a zapotrzebowaniem, podjęte zostały przez FAO — organizację gospodarczą w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Konferencja w Paryżu nie dała jednak pożądanych rezultatów. Współpraca gospodarcza jest najcięższym egzaminem rzetelnej solidarności międzynarodowej w okresie powojennych trudności. Właśnie taką próbę przeżywamy obecnie.

Nie wszyscy zdają egzamin celująco. Jesteśmy świadkami chęci zwekslowania tej współpracy, — obejmującej także konieczność pewnych wyrzeczeń ze strony krajów nietkniętych zniszczeniami wojennymi na rzecz narodów poszkodowanych — na ciasne i niebezpieczne tory gry interesów politycznych i własnych, egoistycznych interesów ekonomicznych.

TAKĄ próbą jest plan Marshalla, mający zastąpić działalność organów gospodarczych ONZ. Nie jest to droga najłatwiejsza, jak możnaby z pozoru sądzić. Ograniczenie współpracy gospodarczej do grona państw nawet tak licznych, jak 16, biorących udział w obradach paryskich, krajów, godzących się na daleko idące ustępstwa i warunki, stawiane przez plan Marshalla, nie da się utrzymać. Widać to wyraźnie z trudności, na jakie napotyka obecna konferencja paryska. Współzależność równowagi ekonomicznej każdego z krajów europejskich czy pozaeuropejskich od równowagi Europy jako całości — jest jasna. Doświadczyła tego Wielka Brytania, przeżywająca jeden z najcięższych w swojej historii kryzysów gospodarczych. Jedną z najgłówniejszych przyczyn tego kryzysu jest właśnie zachwianie równowagi — nazbyt daleko sięgające uzależnienie wymiany handlowej tego kraju od obrotu ze Stanami Zjednoczonymi. Liczne głosy ekonomistów angielskich wskazują na konieczność odzyskania tej utraconej równowagi z krajami wschodniej Europy i Związkiem Radzieckim.

O ile gospodarka światowa nie ma zamienić się w chaos — jedyna jest droga: rozumnej i politycznie beznamiętnej, szerokiej współpracy wszystkich narodów dobrej woli. Należałoby życzyć tylko, by to zrozumienie, kiełkujące obecnie na zachodzie, nie wyłączając Anglii i Francji, przeniknęło do świadomości decydujących kół za Oceanem.

Wojna?... „nie” mówią Amerykanie

WEDŁUG badań przeprowadzonych przez Centrum badań opinii świa towej, 87 procent wypowiadających się Amerykanów zapewniło, że w żadnym wypadku nie będzie wojny między Rosją a USA.

Na pytanie, czy rozbieżności, które przeciwstawiają sobie obecnie Rosję i USA, są wystarczająco poważne ,aby spowodować konflikt zbrojny — 73 procent Amerykanów biorących udział w ankiecie odpowiedziało „nie”.

Tradycje parlamentarne

IZBA Gmin ma szereg zwyczajów, pozbawionych głębszego znaczenia, które jednak weszły do tradycji parlamentarnej. Do tych tradycji należy zaliczyć zwyczaj zadawania członkom rządu angielskiego pytań na temat tego, co się dzieje w innych państwach.

Zwyczaj ten nie ma nic wspólnego z pożyteczną instytucją interpelacji poselskich w sprawach, których załatwienie leży w granicach kompetencji własnego rządu.

Na jednym z niedawnych posiedzeń Izby Gmin jeden z posłów zapytał przedstawiciela ministerstwa spraw zagranicznych czy nie uważa za właściwe interweniować u rządu Iraku w sprawie trzech osób skazanych na karę śmierci za rzekomą przynależność do partii komunistycznej. Mr. Mayhew, przedstawiciel rządu, który nie tak dawno interweniował w sprawie aresztowania tego czy innego spiskowca na Węgrzech, odparł, że „nie widzi powodów do interwencji”!

Jest to tym bardziej zdumiewające, że Irak znajduje się w stanie faktycznej i prawnej zależności od Anglii. Widocznie Mr. Mayhew wyznaje zasadę, że nie należy mącić spokoju przyjaciół, a tradycji parlamentarnej stało się zadość. Poseł zgłosił zapytanie, wiceminister udzielił odpowiedzi...

Mińsk

STOLICA Białorusi została w olbrzymim stopniu zniszczona przez działania wojenne i celowe dewastacje niemieckie. Obecnie prace nad odbudową Mińska są w pełni. W roku przyszłym zostanie zakończona budowa wielkiej fabryki samochodów, która będzie produkowała nowoczesne ciężarówki 5 i 6-tonowe. Buduje się fabrykę traktorów, fabrykę rowerów, fabryki narzędzi i zakłady włókiennicze. Pod koniec roku 1950 Mińsk, który był głównie ośrodkiem administracyjnym, stanie się ważnym centrum przemysłowym. Bardzo wiele zostanie zrobione dla poprawy warunków mieszkaniowych. Ludność oblecuje sobie szczególnie dużo po budowie nowoczesnej gazowni.

Może najważniejsza jednak dla Białorusi jest rola, jaką Mińsk będzie spełniał jako ośrodek kulturalny. 45 szkół, 10 wyższych uczelni, zakład specjalizacji dla robotników, szereg instytutów naukowych z Akademią Nauk na czele, cztery nowe teatry, Akademia Sztuk Pięknych i Szkoła Dramatyczna, zapewnią narodowi białoruskiemu szerokie możliwości rozwoju kulturalnego.

Wkrótce już człowiek niewidzialny!...

RZECZYWISTOŚĆ jest jednak o wiele skromniejsza niż szumne tytuły. Lecz mimo, że niewidzialność jest nadal w sferze rojeń, niemniej pierwszy wielki krok w tym kierunku został już zrobiony. Wbrew przysłowiu: „patrz szewcze swojego kopyta”, zasługa tego pierwszego kroku w niewidzialność przypadła florenckiemu mistrzowi szewckiemu Salvadore Terragalo. Właściwie jednak mistrz Terragalo spełniając swą misję nie spuszczał oka z kopyta, gdyż trudne dzieło uczynienia człowieka niewidzialnym rozpoczął od... butów. Nowy but, który ma zdobyć świat, but, który wzbudził już wielkie zainteresowanie w Ameryce, składa się z widocznej (a jednak!) zelówki i niewidocznej nylonowej części górnej. Właśnie ta niewidzialna część górna ,którą można zmywać i która nie przemięka, stanowi cały sukces. Nie jest co prawda tak bardzo wiele, ale człowiekowi obutemu w but niewidzialny powinno już być o wiele łatwiej iść dalej — w niewidzialność.

tak i nie

Kombatanci ostrzegają

CORAZ bardziej niepokojącą staje się aktywność działaczy hitlerowskich w Afryce Południowej, gdzie ilość Niemców jest znaczna. Na fakt ten zwróciło uwagę 70.000 byłych kombatantów południowo-afrykańskich, którzy wystosowali petycję na ręce marszałka Smutsa stwierdzając, że akcja Niemców stanowi groźbę dla demokracji i dla wolności.

Powojenne zmartwienie

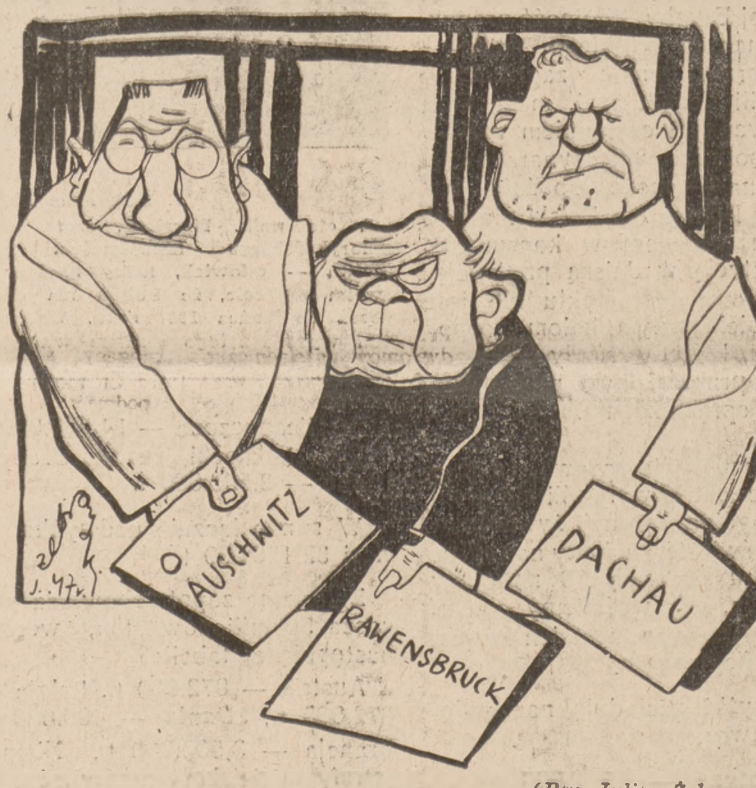
WIELKA dyskusja rozgorzała w pewnych środowiskach Londynu na temat, czy podczas przyjęć ma znów obowiązywać strój wieczorowy. Partyzanci uświęconej przed wojną tradycji stroju wieczorowego spotkali się jednak z zażartą opozycją. Gwałtowne „przeciw” wypowiedzieli przede wszystkim krawcy ,którzy stwierdzili, że nie ma dość materiałów na stroje wieczorowe. Przeciwstawiły się również strojom wieczorowym praczki, ponieważ w żadnym wypadku nie mogą zapewnić koszulom i kołnierzykom potrzebnej im sztywności i połysku. W sumie jednak sprawa ta wywołała niemało hałasu i na dobre skłóciła ze sobą zwolenników i przeciwników stroju wieczorowego.

Problem królewski w Belgii

REGENT Belgii książe Karol, wybrał się na początku lipca w podróż inspekcyjną do krainy, która jest źródłem wszelkich bogactw Belgii — do Konga. Nieustający wśród zabiegach o powrót króla Leopolda Belgowie rozpoczęli natychmiast wielką akcję. Sprawa Leopolda III jest z perspektywy wewnętrznej kraju dosyć skomplikowana, gdyż dążenie do utrzymania monarchii znajduje swoje uzasadnienie w rywalizacji walońsko - flamandzkiej, a jednocześnie książe Karol, sprawujący regencję za swego brata, cieszy się wielką popularnością nawet wśród zwolenników króla. Zdarza się często, że obok fotografii króla, które wciąż jeszcze zdobią okna licznych jego stronników, umieszczane są również podobizny księcia Karola.

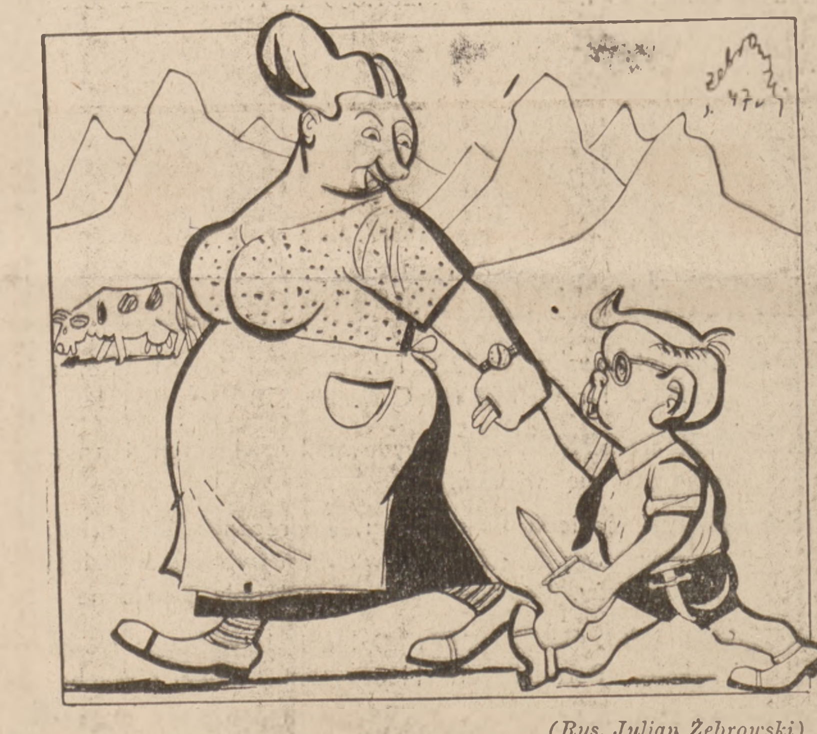
W czasie nieobecności księcia — regenta partia chrześcijańsko - społeczna powzięła uchwałę, że pozostaje wierna monarchii, dynastii i Leopoldowi III. Jest to co prawda bardzo silne stronnictwo, ale pozostałe trzy wielkie partie: socjalistyczna, liberalna i komunistyczna nie zmieniły swego stanowiska i nadal są kategorycznie przeciwne powrotowi Leopolda III.

Trzej niemieccy zbrodniarze z dyplomami lekarskimi sądzeni są w Norymberdze za „doświadczenia” w obozach koncentracyjnych.



(Rys. Julian Żebrowski)

NASZE DYPLOMY



(Rys. Julian Żebrowski)

— Szwajcarka zaprosiła pewną ilość dzieci niemieckich na dokarmianie.
— „Pójdź dziecię, ja CI UTYĆ KAŻĘ”

Lotnisko czy katedra?

MIMO, że zazwyczaj lotniska nie mają nic wspólnego z katedrami, a katedry z lotniskami, tym razem zdarzyło się, że sprawa „katedra — lotnisko” jest niezwykle gorąco komentowana we Francji. Chodzi mianowicie o miejscowość Chartres, gdzie znajduje się jedna z najpiękniejszych katedr średniowiecznych. Fakt, że w Chartres również wybudowano przed ostatnią wojną jedno z największych lotnisk Francji, omal nie doprowadził do zniszczenia katedry wskutek nalotów niemieckich. Katedra jednak wojnę przetrwała. Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych mieszkańcy Chartres, artyści i kler wyjednali w Ministerstwie spraw wojskowych wykreślenie Chartres jako punktu strategicznego. Przez kilka miesięcy katedra zażywała błogiego spokoju. Nie trwało to jednak długo, gdyż wittraże katedry znów drżą od huku motorów i myśliwce startujące zbyt nisko przelatują w niebezpiecznej dla katedry bliskości. Okazało się bowiem ,że Francja nie może zrezygnować z Chartres jako punktu strategicznego i, poza tym, z powodu trudności gospodarczych nie może sobie pozwolić na wybudowanie lotniska w bezpiecznej dla katedry odległości. Sprawa wciąż więc czeka na ostateczne załatwienie.

Pojedynek między kulturą a strategią trwa.

„Made in USA”

OD dłuższego już czasu było wiadome władzom amerykańskim, że we wszystkich większych centrach Stanów Zjednoczonych, gdzie, jak stwierdzono, co dziewiąte małżeństwo jest bezpłodne, istnieje szeroko rozbudowany handel dziećmi. Ostatnio odkryte zostały dalsze szczegóły tej interesującej „handlowej” działalności. „Byznesmeni”, nie poprzestając bowiem na akcji zakupu dzieci nieślubnych, poszli dalej, proponując dziewczynom bez środków do życia „postaranie się o dziecko za wynagrodzeniem pięciuset dolarów. Ponieważ jak dotychczas amatorów na dzieci (bez bólu) nie brak, amerykańscy czarnorynkowcy osiągają sumę 2500 do 3000 dolarów za każdego bobasa.

Niemöller contra Mrs. Roosevelt

„TYDZIEŃ” donosił w swoim czasie o podróży pastora Niemöllera do Stanów Zjednoczonych. Były kapitan łodzi podwodnej, cieszący się przez pewien czas opinią antyfaszysty, Niemöller został zdemaskowany. Niepoślednią rolę w tym odegrała Eleonora Roosevelt, wdowa po wielkim prezydencie. Po prostu napisała w swej codziennej kronice, którą drukuje dziesiątki pism amerykańskich, co myśli o Niemöllerze.

Bojowy pastor powrócił niedawno po długiej podróży do Niemiec. Występy jego w Ameryce nie były uwieńczone sukcesem, chociaż w 22 stanach wygłosił ogółem 200 przemówień. Podobno słuchało go około 500.000 osób. Artykuły pani Roosevelt czyta 3 do 5 milionów Amerykanów.

Nic dziwnego, że Niemöller jest niezadowolony.

Sensacyjny proces

MINISTERSTWO sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych wytoczyło proces przeciwko A. S. C. A. P. (Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Kompozytorów, Autorów i Wydawców) o pogwałcenie amerykańskiego ustawodawstwa antytrustowego.

Pogwałcenia tych przepisów amerykańscy prawnicy rządowi usiłowali się dopatrzyć w fakcie przynależności amerykańskiego odpowiednika naszego ZAIKS'u do Międzynarodowej Unii Stowarzyszeń Autorskich.

Standart Oil nie jest trustem, General Motors nie jest kartelem, ale niedługo może dowiemy się, że Światowa Federacja Związków Zawodowych jest koncernem, zagrażającym przez nadmierną koncentrację kapitału, ustrojowi Ameryki.

Ameryka jest, jak się okazuje, nadal ojczyzną wszelkich możliwości.

List z Nowej Zelandii

Przyjacielu, nie przyjadę...

Pahiatua, w czerwcu 1947 roku

Przyjacielu, nie przyjadę!

Dostałem w tym miesiącu list z Polski. List od starego przyjaciela jeszcze z owych miłych akademickich lat dociekań i udręczeń.

Na listy z kraju czekam jak na pogodę w czasie długotrwałej sloty. Najprostszy donoszący o najpowszedniejszych rzeczach czyta się, jak „Hymn o zachodzie słońca". Mój ostatni list od starego przyjaciela był taki sam jak inne. Ale jedno zdanie w nim było zbyt mocno zaakcentowane. Smagnęło mnie jak biczem i zmusiło do napisania tych kilku zdań. Takie sobie proste zdanie: „...zabieraj całą swoją rodzinę i przyjeżdżaj. Na pewno się tu bardzo dobrze urządzisz".

Osiem lat niezawinionej a bezsensownej włóczęgi wyrobiło we mnie specjalny stosunek do życia. Nazwałbym go stosunkiem jętki jednodniówki. Przy takim nastawieniu zapomina się zupełnie o tym, co to znaczy „urządzić się". A już zupełnie zawodzi wyobraźnia przy spotkaniu ze słowami: „bardzo dobrze urządzić się." To, co piszę w tej chwili, nie jest samooskarżeniem się. Po prostu zaobserwowanie faktu, który ma swoje źródło w bezsensowności emigracji. Bezsensowność emigracji jest aż krzycząca, jeśli obserwuje się wychodźcze grupy, składające się przeważnie z dzieci. A ja właśnie przebywam na emigracji razem z 700 dzieci polskich.

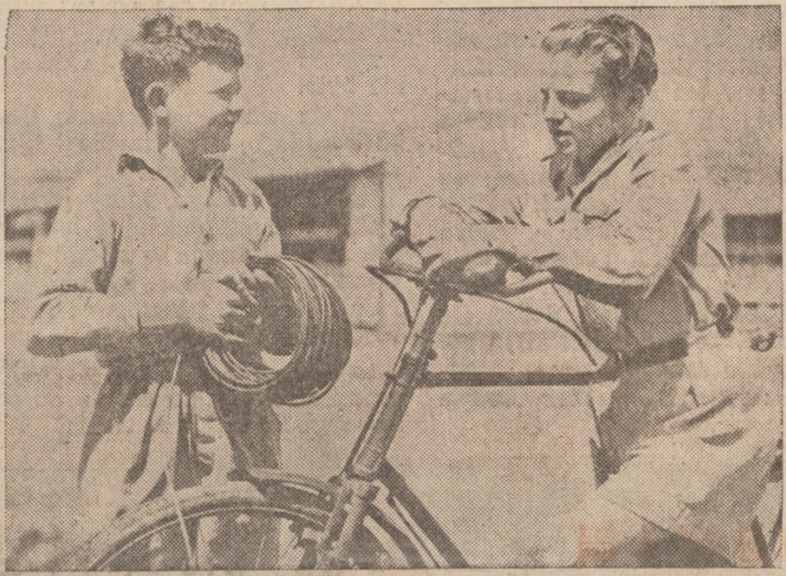
Dawno już poczyniłem pewne kroki, zmierzające do tego, aby w kraju o tych dzieciach nie zapomniano. I czekam. Doczekałem się już drugiej rady jak ta, którą przytoczyłem poprzednio. Niestety, i tym razem jej nie usłucham. Nie pojadę do kraju, aby się tam „bardzo dobrze urządzić". A dlaczego, posłuchajcie.

W. 1944 roku, w listopadzie przybyło do Nowej Zelandii 700 dzieci polskich.

Przybyły one na zaproszenie rządu Nowej Zelandii, który zaofiarował im opiekę na czas wojny i zapewnił wyśmienite warunki materialne. Dzieci zamieszkały w obozie wojskowym około miasteczka Pahiatua. Pod opieką nauczycieli i wychowawców przebywają tu w większości do dziś. Są zdrowe i uczą się. Starsze uczęszczają do klasztornych szkół katolickich, wymykając się powoli spod kurateli nauczycieli polskich. Wojna już się skończyła. Kraj powoli ale stale dźwiga się z wojennych gruzów. Polskie dzieci w Nowej Zelandii czekają, aż się kraj o nich upomni, podziękuje za serdeczną opiekę rządowi Nowej Zelandii i wskaże dzieciom czekające ich nowe drogi rozwoju w kraju.

Tak myśli większość nauczycielstwa i mam wrażenie oczekuje takiego zakończenia sprawy.

Tymczasem jednak prosta z natury swej sprawa zaczyna powoli komplikować się. Gdy kraj milczy w sprawie dzieci, losem ich zaprzątają sobie głowy osoby, które kiedyś dołożyły starań, aby dzieci do Nowej Zelandii sprowadzić. Są to p. hr. Wodzicka i p. hr. Wodzicki, były konsul polski w Nowej Zelandii.



Dzieci polskie w Nowej Zelandii

Pan hr. Wodzicki jest człowiekiem spokojnym i bez inicjatywy. Natura poskąpiła mu lotności i energii. Ale los obdarzył go żoną o niespożytej energii, zapobiegliwości i wyostrzonym sprycie życiowym. Pani hr. Wodzicka pokochała Nową Zelandię i już jej nie chce opuścić. Jest zdziwiona, gdy ktoś jest innego zdania.

— Jak to, to wy chcecie wracać do Polski? — zapytała raz grono dziewcząt i dodała — gdy pobędziecie tu dłużej, poznacie piękno tego kraju, to na pewno zmienicie zdanie.

Aby pomóc dzieciom w zmianie zdania, p. hr. Wodzicka weszła w zażyłe kontakty z tutejszymi sferami katolickimi. Katolików jest w Nowej Zelandii niezbyt dużo. Ale kościół katolicki rozporządza znacznymi funduszami i dlatego opieka sfer katolickich nad naszymi dziećmi jest wyjątkowo czuła. Klasztorne szkoły katolickie rozsiane po całej Nowej Zelandii otwierają przed naszymi dziećmi odrzwia swoje na oścież. Nielada to gratka dla katolickiego kościoła w Nowej Zelandii, jeśli uda się na stałe zatrzymać 700 młodych dusz katolickich dzieci.

Porozumiawszy się z kim trzeba, p. hr. Wodzicka rozpoczęła eksploatować swoją nadprzyrodzoną energię. Idąc prawdopodobnie za jej radą, były konsul, p. hr. Wodzicki, ustępując ze stanowiska konsula, scedował swoje opiekuńcze prawa nad dziećmi na specjalnie przez sąd powołaną radę opiekuńczą, która kieruje teraz losem niepełnoletnich obywateli polskich. Prawnicy polscy, uwaga: rady zasięgano u najbardziej autorytatywnych głów prawniczych tego kraju! W ten sposób wyeliminowano dosyć zręcznie głos nauczycieli polskich w Nowej Zelandii. Nauczyciele polscy już tylko uczą i oceniają zdolności dziecka, o jego przyszłości decyduje wybrana rada opiekuńcza, działająca pod silną kuratelą tutejszych stowarzyszeń katolickich. Z ramienia arcybiskupa Wellingtonu (stolicą kraju jest Wellington) Oshea'i, najwyższego zwierzchnika katolickiego kościoła w Nowej Zelandii, działa jako jeden z członków rady opiekuńczej ks. Cawanagh.

Rada opiekuńcza działa bez żadnej kontroli. Nie wiem, z kim się porozumiewa w sprawie losu dzieci i komu zdaje sprawozdanie ze swojej działalności. Sprawozdań takich nie spotykałem również w prasie nowo - zelandzkiej. A jeśli chodzi o linie wytyczne działalności rady opiekuńczej, wydają mi się one conajmniej dziwne. Przyjmując na siebie obowiązki opiekuńcze, członkowie rady powinni zdawać sobie sprawę z tego, że linię ich działalności powinna wykreślać myśl o zapewnieniu dzieciom jak najpewniejszej przyszłości. Tymczasem nie postarano się nawet o to, aby dzieci, które mają rodziców w Polsce, skomunikować z rodzicami.

Już po napisaniu tego zdania doszedłem do wniosku, że nie można i wymagać tego od „Bogu ducha winnej" rady, jeśli powoływanie jej do życia, odbywało się pod hasłem: „Nie damy dzieci bolszewikom".

Do rady wchodzi również kilku obywateli polskich. Oczywiście, są to ludzie cieszący się zaufaniem Londynu. Na przykład z urzędu wchodzi p. Szczęsny Zaleski, były radca ambasady polskiej w Berlinie i były konsul generalny w Rodezji, ożeniony ze Szkotką. Przyjechał on tu niedawno. Jak sam podał w wywiadzie do jednej z tutejszych gazet, przyjechał na zaproszenie rządu Nowej Zelandii. Pan Szczęsny Zaleski był całe życie dyplomatą. Nigdy nie interesował się dziećmi w wieku szkolnym i szkolnictwem. Szkołę i pracę w niej zna z tych lat, kiedy jako dziecko uczęszczał do szkoły. Tutaj oficjalnie pełni rolę kierownika szkoły. W pismach urzędowych posługuje się innym tytułem: „Delegata Polski".

Jest to pan bardzo miły. Z ziemiańskiej rodziny, pochodzącej z Ukrainy. Jest on w pełnym tego słowa znaczeniu urodzonym gentlemanem. Pochodzenie swoje podkreśla spoglądaniem spod monokla. Pan Szczęsny Zaleski całą duszą oddany jest swemu zawodowi.

Niedawno w wywiadzie, którego udzielił wellingtońskiemu dziennikarzowi, powiedział między innymi: „Chcemy dać Nowej Zelandii ludzi pod każdym względem kulturalnych". Oczywiście nic nie można takiemu stanowisku zarzucić. Zarówno pod względem formy jak i zawartości tekstu jest ono powiedzeniem człowieka wysokiej klasy. W każdym szczególe powiedzeniem dyplomaty wysokiej rangi.

I niewątpliwie każdemu Polakowi musi być bardzo przyjemnie, jeśli czyta, że gdzieś tam w Nowej Zelandii "delegat polski" powiedział tak ładnie, tak z honorem, tak z poczuciem godności Polaka: „Chcemy dać Nowej Zelandii ludzi pod każdym względem kulturalnych".

Każdy klient musi mieć pełne zaufanie do swego dostawcy, jeśli dostawca tak pięknym językiem doń przemówi.

Ale — chcemy — to znaczy — my. Kto my? Polacy tu w Nowej Zelandii, czy też ci Polacy, których delegatem jest p. Szczęsny Zaleski? A może w imieniu Kraju to oświadczenie zostało złożone, o czym ja nie wiem, a o czym wie mój stary przyjaciel z czasów akademickich i dlatego napisał mi w liście: „Ładuj się z rodziną na okręt i przyjeżdżaj, tu się bardzo dobrze urządzisz!"

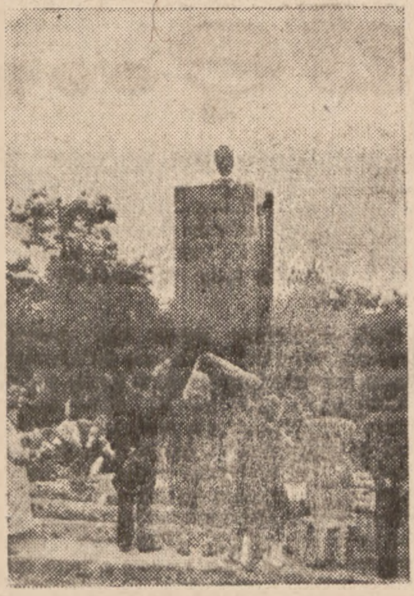
Przyjacielu, nie przyjadę dopóty, dopóki wy tam nie rozwiążecie problemu, który mnie męczy.

M. P.



Napisał
Kpt OGNISTY
Lucjan Fajer
Z-ca d-cy pododcinka „Gozdawa".
Zgrupowanie „Sosny".

JEDEN DZIEŃ



Pomnik Powstanców na cmentarzu wojskowym w Warszawie

Dzień 20-sierpnia był szczególnie dotkliwy w stratach dla pododcinka „Gozdawy". Załogi barykady na ulicach Przejazd — Tłomackie do Długiej nie wytrzymały nerwowo i opuściły zajmowane domy łącznie z palącym się gmachem telefonów, na nowe stanowisko przy barykadzie Długa — Bielańska i w Pałacu Radziwiłłów.

Tegoż dnia mieliśmy pierwsze większe bombardowanie szpitala polowego i kwatery dowództwa przy ul. Długiej 15, w wyniku którego powstał pożar wieży kościoła Garnizonowego i przyległych budynków. Pospiesznie zorganizowałem akcję gaszenia. Wzięli w niej udział także księża i zakonnicy, którzy dostarczyli kilku beczek z wodą i piasek. Po wielkich wysiłkach zdołano zlokalizować najpierw pożary na wieży, a następnie w budynkach przyległych do kościoła.

Po południu zdecydowałem przenieść kwaterę dowództwa do więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej 1/3, gdyż był to jedyny budynek o silnej konstrukcji, jaki ocalał na Starym Mieście. Wkrótce rozpoczęło przenoszenie biura i magazynów.

Niemcy tymczasem przypuścili piorunujący szturm od Kanoniczek i usiłowali przedrzeć się poprzez gruzy na ul. Daniłowiczowską. Wezwałem saperów, którzy z wielkim poświęceniem pod ogniem granatników i broni maszynowej budowali pospiesznie nową barykadę, zamykającą dostęp do ulicy Daniłowiczowskiej.

Nagle zjawiły się samoloty i po okrążeniu Reduty, rozpoczęły bombardowanie nowej kwatery, które trwało do późnych godzin wieczornych.

Największe wyrwy powstały od strony Kanoniczek, skąd szło piorunujące natarcie. Meldunki nadsyłane od załogi Kanoniczek były rozpaczliwe. Posyłam tam ostatnie posiłki, na jakie byłem w stanie się zdobyć. Kpt. Gozdawa wtedy kierował akcją w Banku Polskim i z nim łączności mimo silnego ognia nie przerwałem.

Chwila oddechu nie trwała długo, nowy zespół samolotów nieprzyjacielskich nadleciał i w dalszym ciągu, po krótkiej przerwie, zaczęły spadać ciężkie ładunki bomb. Jedna z nich spadła na lewe skrzydło więzienia, rujnując klatkę schodową od góry do dołu. Spadający gruz zasypał mnie, kpt. Powierę, kpt. Dąbrowę, por. Stacha i innych w jednej celi, z której teraz nie było wyjścia. Przysypani gruzem i stłoczeni, zaczęliśmy się dusić od kurzu i braku powietrza. Na szczęście bomba nie wybuchła.

Po otrząśnięciu się z gruzów i z wrażenia szukamy wyjścia. Ktoś w ciemnościach namacał oskard, jedyny nasz ratunek, przy pomocy którego przebiliśmy ścianę i w ten sposób przedostaliśmy się na gruzy pierwszego piętra klatki schodowej. W momencie tym pada granatnik, od wybuchu którego zginęli: kwatermistrz batalionu kpt. Powierża (Zwierzchaczewski Tadeusz), d-ca kompanii „Orląt" por. Stach (Srzednicki Stanisław), a kpt. Dąbrowa (Zukowski Zdzisław) został ciężko ranny w nogę, którą lekarze musieli niezwłocznie amputować.



Pogrzeb powstańca

Stratę tych dzielnych oficerów, żołnierzy bez skazy, odczuliśmy szczególnie boleśnie. Byli to najwierniejsi towarzysze broni, niemal od początku konspiracji i pierwszych godzin Powstania. Kpt. Powierżę i por. Stacha pochowano w ogródku przy ul. Hipotecznej, cicho bez ceremonii, tak jak była bez słowa ich śmierć żołnierska.

Tymczasem pożary więzienia rozszerzały się poprzez klatki schodowe i otwory windowe z jednego piętra na drugie. Akcja gaszenia pożarów była uniemożliwiona, bo „cywile" wynieśli się gdzieś i nie było komu nosić wody ze studzienki aż na 5-te i 6-te piętro. Na dole, drugi nasz szpital batalionowy, zorganizowany wprost z niczego przez doktora Romana, młodego jeszcze adepta sztuki lekarskiej, a jakże dzielnego i wytrwałego lekarza wojskowego. Jemu w dużej mierze należy zawdzięczyć życie wielu rannych, którzy ocaleli i wyszli żywi z tego piekła.

Od strony Kanoniczek runęła ściana, przylegająca do sal szpitalnych, są ofiary spośród rannych, cały magazyn żywnościowy zasypany. Zarządziłem przygotowania ewakuacji szpitala do podziemii Kościoła O. O. Kapucynów na ul. Miodową. Doktór Roman dwoi się i troi, przygotowując rannych do transportu. Dym przeciska się do sal szpitalnych. Silny ogień z karabinów maszynowych i granatników uniemożliwia jednak rozpoczęcie ewakuacji. Musimy poczekać do nocy. Zdani jesteśmy na wszystko, co może być najgorszego.

Załoga Reduty Banku Polskiego w tym dniu miała również „gorąco", musiała raz po raz przechodzić do kontrataków, aby utrzymać stanowiska. Odwrotu nie było.

Byłem wtedy na Reducie Banku Polskiego, gdy przybiegł łącznik od adiutanta por. Ogórka (Juliana Głowackiego, który później zginął w Śródmieściu) z meldunkiem powtórnym o zbombardowaniu szpitala polowego doktora Piotra i dawniej kwatery dowództwa, przy ul. Długiej 15.

Szpital ten, jako pierwszy, przechodził ciężkie chwile od samego początku powstania. Początkowo organizował się w sali Straży Pożarnej — w Przytułku Starców — przy ulicy Przyrynek 4. Niedługo jednak była możliwa praca na tej ulicy, ogień artyleryjski kruszył po kolei dom za domem. Trzeba było zmieniać kwaterę aż dwukrotnie.

Ostatecznie przeniesiono na ulicę Długą 15, tuż obok dowództwa, do 2-ch sal restuaracji „Pamfil" — Puciaty. Duszą i organizatorem szpitala był dr Piotr Stanisław Wojecki, lekarz chorób dziecinnych, niepraktykujący przez 5 lat wojny. Z niezwykłą energią podjął się on funkcji naczelnego lekarza. Do pomocy miał kilka sanitariuszek z wyszkoleniem „konspiracyjnym", dalej plut.-podch. artylerii Bogusława (inż. Grabowskiego) i na okres prawdziwego podoficera sanitarnego plut. Magnetto (Stanisław Łonczak). To wszystko z czym rozpoczął pracę szpital polowy jeszcze na ulicy Przyrynek 4. Obecnie szpital ten rozrósł się, mając rannych z różnych odcinków walki. Na pierwszym piętrze znajdowała się składnica aptekarska, zaopatrzona w najróżnorodniejsze medykamenty. Dr Piotr składy te przejął na potrzeby szpitali.

Po pierwszym bombardowaniu kwatery dowództwa zdecydowałem ewakuować także i szpital dr Piotra do innego pomieszczenia. Tym bardziej, że napływ rannych był tak duży, że dwa pokoje restauracyjne nie były w stanie wszystkich pomieścić. Osobiście w dniu 19 sierpnia tj. w przeddzień katastrofy — wyszukałem nowy lokal na szpital w podziemiach kaplicy prawosławnej, przy ulicy Miodowej Nr 20 tuż za fabryką Fuksa. Przygotowane były już środki do ewakuacji i przebite otwory w murach parkanu do transportu rannych. Dr Piotr w ostatniej chwili z przeprowadzki zrezygnował. Wierzył w Opatrzność — przecież tyle przeszedł i ocalał, to i teraz szpital musi się ostać.

Nadszedł dzień 20-ty sierpnia. Praca w szpitalu szła normalnie, jakby za spokojnie. Ale po poranku pełnym bomb następują chwile grozy. Niespodziewane wybuchy „szaf" kaleczą rannych. Dr Piotr lekko ranny nie przerywa pracy — wydaje polecenia ewakuacji. W pół godziny druga „szafa" wybija okno, zasypując gruzem salę i aptekę.

Zaczyna się pospieszna ewakuacja. Niestety za późno. Wybuchy bomb godzą w samo centrum szpitala. Cały budynek dwupiętrowy runął, zasypując szpital wraz z rannymi, sanitariuszkami: Jagienką, Jagą Joanną, Kazią, plut. Łonczakiem na czele z dr Piotrem.

Szpital, tak pieczołowicie ochraniany, przestał istnieć. Cudem uratowali się sanitariuszka Jola Anna Kochówna i plut.-podch inż. Wł. Grabowski. Akcją ratunkową kierował niezmordowanie por. Ogórek. Jego mocne dłonie odwalały gruzy, tam, gdzie dochodził głos sanitariuszki Joanny „Ratunku" i wiele innych głosów... ostatnich, dochodzących już jakby zza świata. Nowy trzask, nowe usypisko ucięło wyciągniętą rączkę raz na zawsze.

A potem... już tylko dymiące zwały gruzów i jeszcze „szafy", które pogłębiają dzieło zniszczenia. Zginęli i ci, którzy nieśli pomoc zasypanym: por. Konstanty, z-ca kwatermistrza (Henryk Bülow), strz. Jankowski, strz. Królikowski, st. strz. Flizikowski i inni. Właśnie na ten ostatni akt dramatu zdążyłem przyjść wraz z kpt. Gozdawą z Banku Polskiego — kiedy uciekało życie 60-ciu młodym, a jakże bohaterskim „chłopcom" i sanitariuszkom. Z nimi odszedł dr Piotr który nigdy ich nie opuścił, z którymi czuł się dobrze.

„I tak zginęli trojaką śmiercią — od „szaf" od bomb i od ognia.

Tragiczny ten dzień nigdy nie będzie zapomniany przez tych, którzy oglądali te potworne sceny. A takich dni „Starówka" miała 33.

Film TYGODNIA



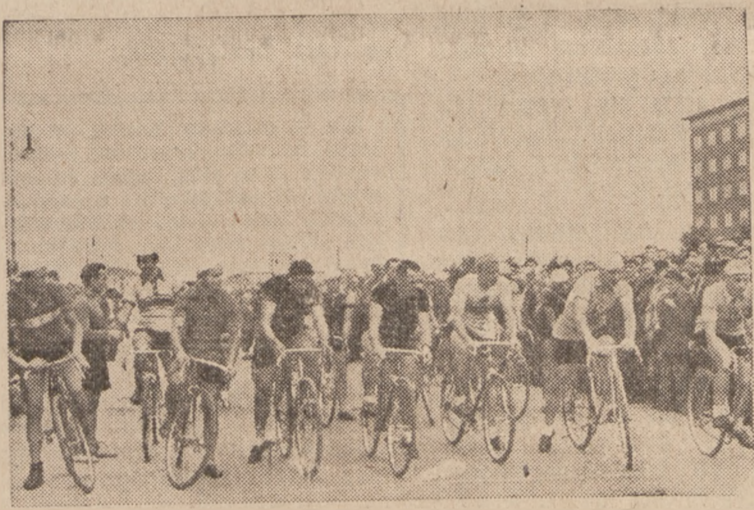
Fot. Film Polski
Delegacja młodzieży radzieckiej, bawiąc przyjazdem w Warszawie w drodze na Festival Młodzieży w Pradze, złożyła wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza



Fot. Film Polski
W Katedrze lubelskiej odbyła się Konsekracja Ks. biskupa sufragana Zdzisława Golińskiego



Fot. Film Polski
Komunikacja w stolicy usprawnia się: wymiana szyn na ulicy Marszałkowskiej przy Placu Zbawiciela

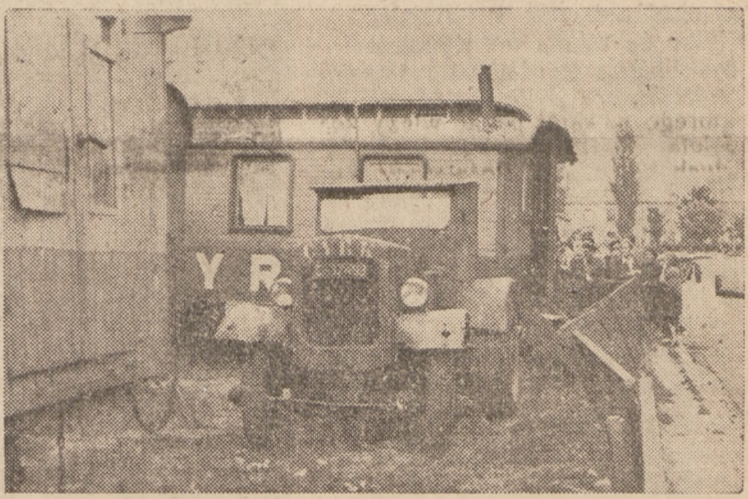


Fot. Film Polski
Start do biegu na 75 km. o puchar Elektrowni Warszawskiej



Młodzież pracuje. Stoisko spółdzielni gospodarczej Z.W.M. na Targach w Gdańsku

CYRK PRZYJECHAŁ





Fot. Film Polski
Warszawa miała nową atrakcję. Były nią występy wędrownego cyrku, który rozbił swe namioty na rogu Mokotowskiej i Polnej

TADEUSZ CIESLEWSKI (syn)

ZDARZENIE NA ZAPIECKU

Ze spuścizny po zmarłym w czasie Powstania znakomitym grafiku Janie Cieślewskim (synu) udało nam się pozyskać to oryginalne opowiadanie, charakteryzujące przywiązanie artysty do starej Warszawy.

W dzień św. Zofii, o godzinie dwudziestej w południe pędził pewien młodzieniec od strony ulicy Podwale przez Pirkirlki i przez ulicę Piekarską na placyk zwany Zapieckiem w kierunku wylotu ul. Świętojańskiej, na Rynek Starego Miasta w Warszawie.

Niebaczny najwidoczniej na nic, ani na nikogo, poza swoim jakimś wewnętrznym urojeniem natknął się na Zapiecku, gnający tak na złamanie karku młody człowiek na mały zator trzech kumoszek miejscowych i usiłując je niezdarnie wyminąć, zaczepił swoją odzieżą, a nawet bodaj własną cielesną osobą o ręczny wózek, ustawiony na bruku jezdni w ten sposób, że wydatnie wystawał nad chodnikiem. Zetknięcie się postrzelonego najwidoczniej młodzieńca z wózkiem pociągnęło za sobą konsekwencje bynajmniej nieskąpe w obfitości. Oto, jako że wózek ów wypełniony był właśnie książkami, rozłożonymi obszernie ku oglądaniu i nabywaniu, więc pierwszą konsekwencją zderzenia było wysypanie się wielu książek na jezdnię i chodnik. Konsekwencją zetknięcia się książek z jezdnią i chodnikiem, z racji pokrywającego je błota, było widoczne zupełne zaplamienie stronic i okładek, a także wybuch ordynarnej wrzaskliwości właściciela książek.

Młodzieniec nie zdawał się żadnym z tych do autentyczności realnych faktów wzruszony w swym zapamiętaniu wewnętrznym. Wszakże upadek książek w błoto i wrzask ich sprzedawcy spowodował powstrzymanie fizycznego impetu młodzieńca ze strony tegoż sprzedawcy, kumoszek i gawiedzi, z niepojętą szybkością zgromadzonej dokoła ogniska zamętu.

— Zapłać mi pan za zniszczony towar! — krzyczał, trzymając młodzieńca za rękaw sprzedawca książek.

— Jak to można tak się rozbijać — wołała jedna z kumoszek.

— Byłby mi wszystkie jarzyny z koszyka wyrzucił — skarżyła się druga.

— O mało mleka mi nie wylał — ubolewała inna.

Młodzieniec nie patrzył na nikogo z krzyczących, mając wlepione oczy w zbrukane błotem, rozsypane u jego nóg książki, szeleszczące na wietrze rozwartymi stronicami. Szczególnie jedną z nich, grube folio jakiegoś zapewne rocznika, wiatr zapamiętale wertował, jakby nerwowo szukając w tekście czy pośród rycin sobie wiadomego a nieodzownego czegoś, co miało się tam znajdować.

— Ależ tak zapłacę. Oczywiście, że zapłacę — zaczął nagle wołać, jakby czymś opętany młody człowiek. Wołając te



Drzeworyt *St. Łuckiewicza*

słowa, zdumiewające zebranych dokoła, wydobywał z kieszeni pieniądze i nie patrząc, ile ich płaci sprzedawcy, nagle osłupiałemu, w milczeniu nachylił się nad foliałem i ze wzrokiem gorączkowym uśmiechał się do przewracanych przez wiatr stronic.

Kiedy w jednym rozwarciu tomu ukazała się rycina, przedstawiająca wylot Ś-to Jańskiej na rynek Starego Miasta w Warszawie — wiatr nagle ustał.

Ten zaś, który wtargnąwszy tak niepohamowanie w obręb Zapiecka stał się powodem wszystkiego, co się właśnie od paru minut w obrębie tegoż Zapiecka działo, zdawał się nie widzieć nic i nikogo poza ryciną na stronicy foliału i rzeczywistością jakiej rycina była odwzorem.

Wzrok młodzieńca był wszakże tak niepokojący, że ludzie rozstąpili się, czyniąc przejście między młodzieńcem a wylotem na Rynek, tak że miał on wolną drogę przed sobą, o ile nie uważało się rozłożonej u jego stóp książki za przeszkodę.

I wtedy stała się rzecz tak dziwna, że wszyscy obecni uznali ją za nieprawdziwą, wręcz za niemożliwą.

Młodzieniec, odstąpiwszy oto dwa kroki wstecz, skoczył ponad rozwartą na chodniku księgę jak gdyby to była jakaś wielka rozpadlina.

Był to ostatni z faktów autentycznych. Co do następnych opinie były podzielone. Jedni twierdzili, że młodzieniec popędził tak nagle zza węgła narożnego domu na Rynek, iż zrobiło to wrażenie, że zniknął — gdyż żaden z wyrostków, co za nim natychmiast pobiegli, nie znalazł go, ani na chodniku wzdłuż domów po stronie, gdzie mieściła się winiarnia Fukiera, ani w żadnej z sieni tych domów.

Inni upierali się, jakkolwiek sami uznawali to za niedorzeczne, że młodzieniec wskoczył w książkę, i że spadając na nią, skurczył się i zniknął w miejscu, gdzie na stronicy rozłożonego tomu widniała rycina. Mówiąc nawiasem, wiatr znowu teraz gwałtownie szeleścił stronicami oprawnego rocznika.

Sprzedawca książek raptem nachyliwszy się, podniósł foliał i nie mniej porywczo od wiatru, zaczął wertować jego kartki. A znalazłszy, wskazywał palcem nachylonym tłoczącym się ludziom na odnalezioną rycinę.

W wylocie ulicy Ś-to Jańskiej na Rynek Starego Miasta, widać było na rycinie postać młodzieńca odwróconego tyłem. Kapelusz, okrycie — teraz dopiero to zauważono — jakkolwiek staroświeckie, były identyczne z tymi, jakie miał na sobie młodzieniec, wystrzelony nie wiadomo skąd jakby z procy w obręb Zapiecka.

Kumoszki zaczęły się żegnać znakiem Krzyża Świętego.

— Trzeba tę książkę oddać księdzu do kościoła Augustianów na Piwnej!

— Nie, lepiej do Fary na Ś-to Jańską.

— Najlepiej byłoby spalić tę diabelską robotę — radziły inne głosy rzeczoznawców.

Ale sprzedawca był pewnie innego zdania. Bo udając, że uważa za słuszną pierwszą radę, zlecił opiekę nad wózkiem i książkami jednej z kumoszek — sąsiadek i pobiegł w głąb ulicy Piwnej. Widziano jak zanurzył się w bramie, wiodącej na dziedziniec zabudowań kościelnych. Kiedy powrócił, z tajemniczą miną oświadczył:

— Oddałem księdzu.

Ale kto czytał gazety dnia następnego, mógł się łatwo przekonać, że sprawa została zgoła inaczej załatwiona.

W kilku większych dziennikach stolicy widniało bowiem ogłoszenie treści następującej:

Kto ze zbieraczy książek pragnie nabyć Rocznik „Tygodnika Stołecznego" z roku 1869, bogato drzeworytami ilustrowany? Specjalnie ciekawa jest rycina przedstawiająca „Wylot ulicy Ś-to Jańskiej na Rynek Starego Miasta"! Wiadomość u Wenantego Poniewasza, w domu pod Nr... przy ul. Piwnej.

Na tym ogłoszeniu zakończył się pierwszy rozdział „Baśni Warszawskiej" przepisywanej przez niżej podpisanego z jedynego egzemplarza niewydanej do tąd drukiem „Księgi Starego Miasta".

Karol Małcużyński

KRAINA *tysiąca* NIESPODZIANEK

CZYLI SĘDZIWE JAJO I KOŚCIÓŁ Z TRUPICH CZASZEK

10 kwiecień.

Powiedział mi dzisiaj redaktor, żebym pojechał na Ziemie Odzyskane. Do Wałbrzycha. To chyba gdzieś koło Jeleniej Góry.

Pobzikowali zupełnie z tymi Ziemiami. I kto to będzie czytał. Wiadomo, że prastare, że piastowskie, że krzywa produkcji, że plan trzyletni, że „wara Niemcom", że Osmańczyk, że tony, kilowatgodziny i w ogóle przyszłość Polski. A w rezultacie, od czasu jak ustał szaber, to wszyscy ziewają, jak tylko zobaczą tytuł.

11 kwiecień.

Zdecydowałem się pojechać. Zrobię im kawał. Pojadę, ale nie napiszę ani słowa o stali, o węglu, o pionierach i o „trudzie w znoju".

No a poza tym, przypomniałem sobie, że tam teraz robią perlony i podobno nawet „Borsalino". To warto zobaczyć.

13 kwiecień.

Przyjechałem do tego Wałbrzycha. Nawet całkiem wygodnie. Sleepingiem.

Śmieszne, człowiek nic nie wie, że taki Wałbrzych to całkiem duże miasto. Podobno ma dzisiaj coś 90 tysięcy mieszkańców. A tych kopalni i fabryk! — bez liku.

Zabawni tu ludzie. Miejsca jeszcze nie zagrzeli, a zaczepisz którego, to ci tak zaczyna o swoim Wałbrzychu opowiadać, jakby od pięciu pokoleń tu siedział.

Zaraz zaczynają się chwalić, że mają najlepszy węgiel w Polsce, jakąś tam olbrzymią benzolownię. Niektóre rzeczy nawet ciekawe. Bo kto by przypuszczał, że tu jest np. kolosalna elektrownia, która zaopatruje w prąd Pragę Czeską, a przed wojną dostarczała prądu przedmieściom Berlina.

Spotkałem jednego takiego bzika. Dowiedział się, że przyjechał na Dolny Śląsk dziennikarz z Warszawy, przybiegł do mnie i zaczął mnie przekonywać, że muszę, ale to absolutnie muszę obejrzeć uzdrowiska dolnośląskie. Zasypał mnie jakimiś szczegółami i musiałem mu obiecać, że pojedziemy do tych uzdrowisk. Nawet nie przypuszczałem, że poza Jelenią Górą i Karpaczem (Kazik był tam w lecie) są jeszcze jakieś uzdrowiska.

Zobaczymy, zawsze to lepsze od tych drewnianych pił o przemyśle i osadnictwie.

14 kwiecień - Solice - Zdrój.

No, no trudno było się spodziewać. ulokowali mnie dobrze. Tuż pod Wałbrzychem, pół godziny drogi tramwajem od takiego kolosa przemysłowego, cicha, piękna w dolinie położona miejscowość. Pensjonat pierwszorzędny, czysto, jeść dają też dobrze i to dwa razy taniej niż w Warszawie.

Nazywało się to Salzbrunn i zjeżdżali tu podobno ludziska z całego świata. Bo też było po co. Toż tu w sześć tygodni leczą ludziom astmę. Nie do wiary. A koklusz w parę dni. I pomyśleć, że jak synek Stasia miał koklusz, to się dzieciak pięć tygodni męczył, piał jak kogut, czerwieniał cały, a tu go mogli — raz - dwa — wyleczyć. Muszę Stasiowi powiedzieć. Też gapa. Jak można tak zupełnie nic orientować się, co mamy w Polsce.

Czego tu nie ma! Inhalacje, diatermie, krótkofalówki, nasiadówki, komora pneumatyczna, gdzie poddają pacjentów wysokiemu ciśnieniu.

15 kwiecień - Solice - Zdrój.

Zupełnie baranieję. Czy wy wiecie, że tu w lecie pełno jest **rododendronów** i **magnolii**. Nie, nie w cieplarni. W gruncie, w parku, w ogrodzie. Magnolie i rododendrony — rozumiecie? „Gdy nocą pachnie kwiat magnolii..." — pod Wałbrzychem! Śmiechu warte, słowo daję.

A w cieplarni, jakby się kto pytał, mają wszystko, czego dusza zapragnie, razem ze storczykami i kameliami. Ze **storczykami**. W lutym tego roku mieli bez, konwalie i fiołki. W lutym przy 20-tu stopniach mrozu na dworze.

Skołowali mnie tymi kwiatami, ale dobili już zupełnie placem golfowym. Mają tu plac golfowy — i to jeden z najlepszych w Europie.

16 kwiecień. Wałbrzych.

Pognało mnie dziś do Wałbrzycha. No, bo jakże nie zobaczyć, skoro tu pod nosem pracują pełną parą dwie **rosentalowskie** fabryki porcelany. Robią polskie Rosenthale. Oglądałem je. Nic nie zełgane, prawdziwe przedwojenne, cieniutkie, przezroczyste, wykończone, jak cacka. Zjeżdżają się tu z całego świata. Oczywiście — jak to u nas — zaraz na eksport. Połowę Amerykanie zabierają, kupują Szwedzi, Belgowie, Szwajcarzy, Holendrzy. Strasznie się w fabryce śmieli, bo dostali niedawno zamówienie z Brazylii. Wszystko o te dewizy tak się trzęsie Ale przecież coś ze 40 proc. idzie na rynek wewnętrzny. Tylko, że u nas to tak zawsze w konspiracji, nikt nie wie. Mente captus conspiratus.

Później zaraz okazało się, że na Dolnym Śląsku jest cała kupa fabryk i szlifierni kryształów.

17 kwiecień. Wałbrzych.

I znów w Wałbrzychu. Już się mój opiekun, ten bzik uzdrowiskowy złości, że „tracę" tyle czasu, ale nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, żeby nie zobaczyć fabryki kalkomanii. Tak, takich dziecinnych kalkomanii, które każdy robił, jak na piechotę pod stołem chodził. Proszę sobie wyobrazić, że kalkomanie, to nie tylko tak dla zabawy, ale na przykład dla zdobienia porcelany. Niemcy przed wojną byli pierwszymi na świecie producentami kalkomanii i eksportowali na wszystkie strony świata. Mamy dziś tę fabrykę i jak się rozkręci i surowców nie zabraknie, to będziemy mogli i my eksportować pełną parą. Że niby te dewizy.

18 kwiecień. Duszniki - Zdrój.

Kręci mi się trochę w głowie, bo mnie dziś taszczyli, jak pusty worek. Najpierw był Puszczyków, który teraz nazywa się Polanica, a stacja kolejowa przy nim — żeby widocznie trudniej było zgadnąć — Wrześniów. Wiec w Puszczykowie kazali mi oglądać znowuż te wszystkie terapie: hydroterapię i elektroterapię i helioterapię i borowinę w wannach i sanatorium i teatr i basen. Potem mi pokazali „Wielką Pieniawę", takie fenomenalne źródło, które bije jak fontanna i daje pół miliona litrów na dobę. Piłem to, znowu bardzo smaczne, a podobno i wielce lecznicze.

Później pojechaliśmy do Dusznik. Droga przepiękna, a co za tereny narciarskie po drodze. Gdyby ktoś z wielkim staraniem starał się nagromadzić tu wszystkie możliwe „modele" terenów narciarskich, począwszy od okrąglutkich, i miękich pagóreczków, z których i na własnych spodniach bez zbytniej emocji zjechać można, a skończywszy na najtrudniejszych, długich zjazdach, to nie potrafiłby tego wzorowego terenu narciarskiego lepiej ukształtować niż to natura zrobiła w tej części Dolnego Śląska.

W Dusznikach znowu mi chciano pokazywać terapie i nasiadówki, ale im powiedziałem, że wierzę na słowo honoru, po czym wyliczyłem w szybkim tempie wszystkie urządzenia, jakie posiadają. Zgodziło się, więc dali spokój.

Mają tu na odmianę borowinę i lubią specjalnie pacjentów sercowych, którzy w swoim czasie zjażdżali z zagranicy. Jak ktoś przyjedzie w zimie, aby sobie serce wyleczyć, może je w szybkim tempie nadwyrężyć, używając siedmiokilometrowego toru saneczkowego. Nie wiem, czy dużo jest takich gigantów w Europie.

Lokalną i trzeba przyznać niecodzienną atrakcją jest tu największa w Polsce cud - fontanna. Składa się ona z całego szeregu chytrych urządzeń, którymi manipulować musi znakomity specjalista, podobno inżynier. Strumień wody sięga tu wysokości 40 metrów; może formować najróżniejsze parasole, pióropusze, rozpryski i wiry. Ponieważ w sezonie letnim oświetla się ją do tego różnokolorowymi światłami, ponieważ na pięknym stawie pływają dwuosobowe łódki, zrozumieć łatwo, że ostrzegano mnie, bym nie przyjeżdżał tu za często — jeśli jestem kochliwy. Tak bowiem się składa, że kuracjuszki w Dusznikach są wyjątkowo urocze.

Lat 120 temu zdarzył się taki właśnie przypadek Fryderykowi Szopenowi, który przyjeżdżał leczyć serce i ciężko biedak się zawiódł, gdyż nie tylko go nie wyleczył, lecz wyjechał z sercem złamanym.

Po przepięknym lipowym parku dusznickim błąka się legenda tej młodzieńczej, dziecinnej jeszcze niemal miłości Fryderyka Szopena do — wstyd powiedzieć, tak mało romantyczne — tęgiej, przystojnej Czeszki, przyrządzającej pacjentom błotko borowinowe w ówczesnym zakładzie zdrojowym.

Rezultatem tej zdrojowej miłości był pierwszy, zagraniczny koncert Szopena. Ojciec jego ukochanej nagle umarł, wskutek wypadku podczas pracy. Została ukochana Fryderyka z dwojgiem małego rodzeństwa. Wtedy to Szopen za zezwoleniem matki dał na rzecz sierot koncert z domu zdrojowym, a było to 26 sierpnia 1826 roku.

Dziwna to w ogóle okolica. Nigdym nie przypuszczał, by istniała na przykład prawdziwa kaplica, w prawdziwym kościele, zbudowana — ni mniej ni więcej — tylko z trupich czaszek i piszczeli. W szczególny sposób czciły tu Pana Boga jego niemieckie owieczki. W drugim znów kościele oglądam z niedowierzaniem szczególną ambonę. Wyobraża ona jakiegoś olbrzymiego zwierza - smoka, jak sobie próbowałem wydedukować z mych znajomości biblijnych chyba wieloryba. Potwór ten ma rozwartą paszczękę, wyimaginowaną bardzo dokładnie, z zębami, podniebieniem itd. W tej to właśnie potwornej paszczy ukazuje się... ksiądz, by wygłosić kazanie. Wchodzi przez ucho potwora, w którym umieszczone są drzwiczki i staje pod kłami, które — gdy jest ciemno, a może dla wzbudzenia większej nabożności — są oświetlone elektrycznością.

To istne cudo pomysłowości niemieckiej obwieszone jest najróżnorodniejszymi prorokami i świętymi, w bardzo obfitej ilości. Jakiś wybitniejszy mąż biblijny nie znalazł już w tłoku miejsca i usadowił się na ogromnie realistycznie wyrzeźbionej fontannie wody, którą wieloryb wyrzuca — jak wiadomo — z głowy.

Rozumiecie, że po takim dniu kręci mi się w głowie.

19 kwiecień. Kudowa - Zdrój.

Jestem więc w słynnej Kudowie, do której to Kudowy od lat wielu zjeżdżali najróżniejsi biedacy chorzy na serce i chorobę Basedowa. My zdążyliśmy już przechrzcić ją na Chudobę, a następnie na Chudobice, podczas gdy stacja kolejowa nazywała się Chudowa. Tłumaczą mi, że to jedno z najlepszych i najlepiej urządzonych uzdrowisk w Europie. Wierzę,

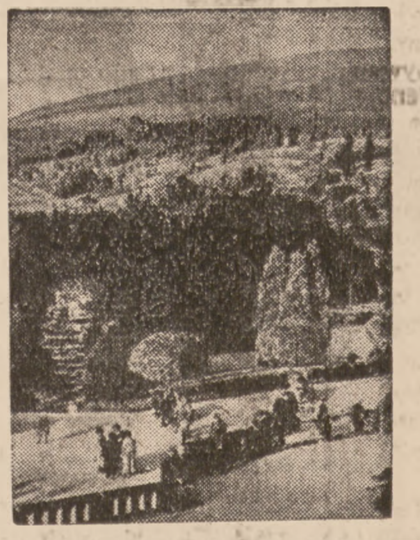
(Ciąg dalszy na str. 11).



Zabytkowy norweski kościółek „Wang" w Bierutowicach, na wysokości 950 m n. p. m.



Pomnik Szopena w Dusznikach Zdroju



Fragment parku w Świeradowie (Wieńcu Zdroju)



Fontanna w Dusznikach



U POETÓW

Jan Śpiewak

WIERSZE

*

I czymże tłum idący jest
jeśli nie cieniem kroków własnych,
gdy w kamień przemieniony gest
pył piasku wyolbrzymia w jasność.

I czymże chmury, kiedy zwiędły bruk
rumienią, aby stopy unieść,
jeśli nie mgłą rzuconą w łuk
nad miastem rozpryskanej łuny.

I czymże jest wiatru chłodny plusk?
To tylko — zwiędła doskonałość
nozdrzy i trzewi, ślepych ust,
wyzwolonego z ruchów ciała.

*

Zamieci ulic nie odgarnę.
Dzień mija. Noc się ostrzy.
I tylko mróz i tylko w nozdrza
uderza mrok jak fala czarna.

W wąwozach liści nie dostrzegę
źrenic przechodnia, który przeszedł
pomiędzy gwiazdą a pepeszą
w zgasłej zieleni kroplą śniegu.

Ach, na bagnecie wiatr zawisł,
a w jego oczach dno jesieni.
I rdzawy hełm się w ptaka zmienia
jak kamień, który różą krwawi.

Na gruzach śnieżnej nocy gdzie ja
odgarnę cień ten zwiędłą dłonią.
I to jest mgła. I chmury dzwonią
krawędzią zmroku. Znów zawieja.

Narodziny

Tych brył płonących przestrzeni, tych
skib mroku czarnego
nie sposób mi zrzucić w fale.
Niech płonąc płyną dalej
ode mnie.
Cóż, nie droga jesieni,
nie nóż śniegu,
nie nóż zieleni,
rdzawy od kroków wystygłych
lecz nóż gwiazdy,
którą daremnie
dźwigam
na rzęsach swoich:
gwiazdy pożegnań, powrotów
i całopalenia.

Oto
stoję
na chmurach dni,
oślepły pocisk milczenia.
Zwróćcie źrenice moje,
wydobyte z pyłu, piasku i mgły
gałęzią głazu i róży.
Gałęzią wystrzałów i krwi.
Chmury u warg burzy,
burzy kruchego strumienia,
błyskami dłoni kamiennych
klęczące na gardle snu.
Zwróćcie zdziwienie moje
płonące przestrzenie, skiby mroku czarnego,
słupy śniegów świszczących.
O Alleluja narodzin,
o hosanna pogrzebów
słońca i nieba,
ognia i wody.

Kamień
uskrzydlonego brzegu
wiecznie ginącej Troi
w chmurze gwiazdą się dwoi,
daremnej zieleni i śniegu.
Głębiej
w mrok, zanurz ramię.
W gnieździe mroku — gołębie.
Gołębie.
Amen.

*

A gdybyś wiosną chciałbyś spocząć
i lec byle gdzie, byle jak.
Pozwól — niechaj wędrują twoje oczy
przez wypalony słońcem trakt.

A trakt ten może być też wklęsły
jak liśćmi starty dotyk kopyt.
Niechaj się pasą w piasku rzęsy
i wloką się bezmyślnie stopy.

A wtedy palce sfruną w zieleń
by chłód jej chłonąc istnieć
źrenicą trawy, co się ściele
jak łodyg cień, nierzeczywiście.

KRAINA *tysiąca* NIESPODZIANEK

(Dokończenie ze str. 9)

mam już zupełny mętlik w głowie i spostrzegam tylko, że jest przepięknie położona, co w tej dziwnej krainie jest zdaje się zjawiskiem chronicznym.

20 kwiecień. Jelenia Góra.

Każde dziecko w Polsce wie, co to jest Jelenia Góra, a bziki uzdrowiskowe nie pozwoliły mi się nawet zatrzymać po drodze, choć były tu do zobaczenia i perlony i fabryka nart i fabryki krzysztełów. A może to było w Dusznikach. Już nie wiem.

21 kwiecień. Cieplice - Zdrój.

Przyjeżdżają tu reumatycy, artretycy, inwalidzi. Pieszo, o lasce, o kulach albo zgoła na wózkach. Pakują ich tu codziennie do basenu, gdzie z gorącego (44 stopnie!) źródła wpływa woda, odpowiednio ochłodzona. Później ich masują, naświetlają — znowuż te różne terapie, znów w razie potrzeby błotko borowinowe i wypuszczają na wolność, ale już bez kul, bez laski ,bez wózka. „Pucu nima, w rękach nic" — jak to się mówi w Warszawie, a cuda się dzieją w Cieplicach.

Kto nie wierzy, niech spyta Marysieńki Sobieskiej, która we własnej osobie leczyła się tu, jako gość honorowy magnackiej rodziny Schafgotzów.

Aleń Ale! A propos Schafgotzów, którzy rezydowali od wieków w tej okolicy. Dziwacy to byli niepowszedni, a w ostatnich pokoleniach przerzuciło im się na zbieranie. Czego? A, najróżniejszych rzeczy, jak to się zaraz pokaże. Musiałem przecież te rzeczy obejrzeć — uchowały się w komplecie.

A więc przede wszystkim biblioteka, kolos - biblioteka. 80 tysięcy tomów. Przeważnie o Śląsku, ale są i inne cudeńka. Jest kronika Bielskiego z 1597 roku, jest jeden z pierwszych polskich druków krakowskich, jest drugie wydanie Długosza. Jest dziesięć olbrzymich tomów wielkości średniego prześcieradła, uzupełnionych 3 tomami wielkości dużego prześcieradła. Wszystko razem — to zlecone przez Napoleona, luksusowe wydanie opracowane przez najwybitniejszych uczonych francuskich — plon jego wyprawy do Egiptu, monografia tego kraju. Poza granicami Francji, na całym świecie są wszystkiego 4 egzemplarze tego mamuciego wydawnictwa.

Ale prawdziwe dziwolągi oglądać zacząłem dopiero w ptasim i motylim muzeum. W przeciągu 75 lat zebrano tu 15.000 motyli, 6.000 ptaków, całą kolekcję... jajek i szereg innych dziwności. Razem — 35.000 eksponatów

Ozdobą zbiorów jajczanych jest sędziwe jajo przedpotopowe chyba strusia - giganta. Liczy ono około 40.000 lat, znalezione zostało gdzieś na wyspach Oceanii ma wielkość dużej, ośmiolampowej superheterodyny. Jajeczek tego rodzaju jest na świecie trzy: jedno w British Museum, drugie w Paryżu, a trzecie... właśnie w Cieplicach. Zestawienie tych trzech metropolii świata jest mocno zabawne.

W tym to muzeum siedzieć można trzy tygodnie. Czyż najbardziej sentymentalny poeta mógłby wymyślić bardziej sentymentalną historię: są oto australijskie szaro - bure, niepozorne ptaki — ot! takie duże wróble, które podczas miesięcy godowych znoszą do gniazda storczyki i inne co efektowniejsze kwiaty.

Są oto przemyślne tukany, które na czas wysiadywania jajek zamurowują swą małżonkę w dziupli, by się nie łajdaczyła po sąsiadach, a pilnowała domowego ogniska.

Najbardziej bujna fantazja malarza nie wymyśli i nie skomponuje takich barw i takich kształtów, jakie mają egzotyczne motyle lub małe kolibry, których zgromadzono tu 400 odmian.

Wieczorem poszliśmy na kawę do ślicznego Pawilonu Zdrojowego, gdzie gra Dziubas - Kwieciński i gdzie po Simonie i Steckim jest najlepsza kuchnia w Polsce. To skandal, że o takich rzeczach u nas się nie pisze w prasie.

22 kwiecień.

Wciąż na Dolnym Śląsku. Wciąż uzdrowiska.

Zaczynam się obawiać, że zostanę tutaj do późnej starości.

Wciąż jeżdżę i bziki uzdrowiskowe wciąż mi pokazują nowe rzeczy. Byłem na przykład w Wieńcu - Zdroju który przechrzczono na Świeradów. Ale tym się i tak nikt nie przejmuje. Tu, proszę państwa, odkryto na parę lat przed wojną odmianę kwarcu, który wydziela z siebie emanację radu. Z tego to kwarcu okoliczna ludność wyrabia różne cygarniczki, wisiorki i inne cacuszka, wierząc święcie, że fluidy wydzielane przez kwarc podnoszą siły żywotne, dają zdrowie i znakomite samopoczucie. Ludność ze swoimi „przesądami" nie czekała zresztą na odkrycia uczonych, ale wierzyła tak od setek lat. Okazało się, że miała



Dom Zdrojowy w Solicach

rację. Mądrzy profesorowie powęszyli, pobadali i stwierdzili, że dobroczynny wpływ tutejszego klimatu i tutejszych wód — to właśnie rezultat owych emanacji radowych.

Tylko jedna poufna uwaga — dla dorosłych. Małżeństwa mogą do Wieńca jeździć tylko wspólnie. Wpływ radonu jest tak silny i tak... hm! dobroczynny, że słomiany wdowiec o nieżelaznym charakterze złamać musi w szybkim tempie jedną z podstawowych cnót małżeńskich.

Mój Boże! Żebyśmy to tak mieli kogoś z głową na karku i — z przeproszeniem — z inicjatywą prywatną — to przecież trochę reklamy, trochę szumu, a za pół roku cała Ameryka chodziłaby obwieszona biżuterią i talizmanami kwarcu radonowego. Bo, jak wiadomo, za Oceanem, pod dobroczynnym wpływem whisky. coraz gorzej jest z tą... — no jakże to powiedzieć — męską krzepą i tym się tłumaczy olbrzymi procent skarg rozwodowych wnoszonych przez piękne Amerykanki (nie każda ma taką cierpliwość cielęcą, jak pulchne Gretchen). Czego oni nie robią? Jedzą nawet nałogowo surowe selery!

A tymczasem wystarczy kwarcowa cygarniczka z Wieńca.

Byłem później w Karpaczu, z którego zrobiono Drogosławice (co to za małpia złośliwość z tymi nazwami).

Czego tam znów nie ma! Cztery tory saneczkowe, tor bobsleighowy, lodowiska, 3 boiska hokejowe, pływalnia. W górach schroniska na każdej żądanej wysokości. Do kompletu dziwnych kościołów dochodzi tu słynny już na Dolnym Śląsku „WANG". Starożytna ta świątyńka drewniana stała sobie w Norwegii od XII wieku, aż kupił ją wreszcie w połowie XIX wieku za 120 talarów król pruski Fryderyk Wilhelm IV i przewiózł ją częściami do Europy, by przyklęknąwszy na jedno kolano ofiarować ten skromny dar swej przyjaciółce, hrabinie von Reden. Czyż to nie historia z filmu „Upiór na sprzedaż"?

Z nowszych nieco rzeczy jest w Karpaczu skocznia narciarska zbudowana przed paroma miesiącami przez Staszka Marusarza. Skaczą na niej chłopaki do 60 metrów i niecierpliwie czekają na pierwsze zawody międzynarodowe.

Wczoraj wieczorem zacząłem się zastanawiać, czego jeszcze na Dolnym Śląsku nie widziałem.: najpiękniejszych w Polsce sanatoriów przeciwgruźliczych, drugiej w Europie fabryki dywanów smyrneńskich... Wypisywałem sobie pozycja za pozycją, nie biorąc oczywiście pod uwagę żadnych tam węglów, stali i innych „produkcyjnych elementów". Zapisałem coś ze cztery strony, a moje bziki uzdrowiskowe zapewniają mnie, że nie doszedłem do połowy.

W nadziei, że życia i sił starczy, osiedlam się tu na stałe. Może syn mój uporządkuje te niechlujne notatki.

P.S. Mam nadzieję, że moi mili i gościnni przewodnicy po uzdrowiskach dolnośląskich, a w szczególności Wielka Czwórka: dyr. Lenga, dyr. Oszczygieł, red. Wojnicz i p. Potocki nie pogniewają się na mnie za termin „bziki uzdrowiskowe".

Ja natomiast zachowam do nich głęboki i dozgonny żal: oto nie uprzedzili mnie, iż „bzik uzdrowiskowy" jest tak zaraźliwy.

A poza tym, gdyby nie ten ich bzik — nie zrobiliby tyle w tak krótkim czasie i w tak ciężkich warunkach dla tej krainy tysiąca niespodzianek.

Karol Małcużyński

ZIELENIAK

(Fragmenty większej całości)

...Pędzono ludzi ulicą Grójecką w kierunku zachodnim, na owo wielkie targowisko warzywne, otoczone wysokim murem, położone na krańcach Warszawy. Z różnych ulic i domów dołączały się do pochodu nowe rzesze. Szli ludzie jak w gorączce, z rozszerzonymi oczyma, nieprzytomni, rozglądając się obłędnie dokoła, nie poznając ani siebie ani ulic, którymi ich gnają. Wciąż ktoś szukał, krzyczał, nawoływał się, wybuchał jękiem, płaczem, przekleństwem. Ciągle ktoś padał, zawalając drogę innym; ktoś się podnosił, kogoś popychano, strącano na bok, przynaglano kolbą lub świstem bykowca. Była to chrystusowa droga tysięcy ludzi na Golgotę, a nazwa ta po hebrajsku oznacza „trupią czaszkę".

...Na jezdniach leżały spalone kadłuby tramwajów, zwijały się kłębami przewody elektryczne, otwierały się pod stopami wyrwy od pocisków lub piętrzyły się stosy kamienia brukowego, rozbitego szkła i gruzu. Na którymś rogu czołgała się kobieta z odciętymi do kolan nogami i wzywała ratunku, błagała by ją zabrać ze sobą, aż krzyk jej wzburzył „kałmuka", który strzałem w głowę uciszył ją na zawsze. Co kilkaset, co kilkadziesiąt kroków zatrzymywały pochód nowe watahy „kałmuków" z dywizji Kamienskiego, którzy wybierali sobie ludzi, niosących większe walizy, przetrząsali ich zawartość, grabiąc resztki ocalonego mienia. Zegarków i kosztowności nikt już chyba nie miał: wszystkie były zrabowane już przy wypędzaniu mieszkańców z domów. Ze szczególną uwagą obserwowali „kałmucy" nogi ludzkie, ściągając z mężczyzn długie buty. Ale i z kobiet również. Oto któryś z nich dostrzegł młodą kobietę z niemowlęciem przy piersi, bez palta i bez żadnego tobołeczka. Na gołych nogach miała długie buty — być może cały swój majątek. Kazał i jej zdjąć buty, i puścił ją dalej boso, zrozpaczoną i nie płaczącą już, lecz wyjącą.

Tak szli ludzie i szli, nieskończenie długo — śród ulic, patrzących na nich oczodołami okien, pod niebem zasnutym dymami, co gryzły im oczy, i w łunach pożarów. I tak dochodzili — tysiącami na ów Zieleniak.

Jak go opisać? Kiedy w dawnych, spokojnych czasach, które możnaby nazwać humanitarnymi, czytało się taką na przykład księgę, jak „Martwy dom" Dostojewskiego, w której opisana została katorga syberyjska, człowiek był nią wstrząśnięty do rdzenia swej ludzkiej istoty, zraniony w swych najświętszych uczuciach: rozumiał, że podeptano w nim wszystko, co miał najdroższego, sponiewierano go i opluto. Droga na Zieleniak i pobyt na nim, stawały się męczeństwem, jakiego nie zaznawali nigdy mieszkańcy „Martwego domu", którzy jednak bywali zbrodniarzami, i słusznie — rzecby można prawniczo — ponosili karę. Tu byli ludzie niewinni, a śród nich większość — kobiety i dzieci. Tak, ale tamci cierpieli wiele lat; tutaj męka trwała parę dni. Lecz czy można przeżycia ludzkie mierzyć czasem? Człowiek jest miarą tego, co doznaje, i dwa dni oglądania bestii sprawić w nim może większe spustoszenie duchowe, niż kilkanaście lat pobytu w więzieniu. Zieleniak był wcieleniem bestii. Lecz z drugiej strony — czymże on był — on i Martwe domy — wobec Majdanków i Oświęcimiów. Trudno zaiste znaleźć porównanie, trudno dobrać słów odpowiednich, aby wyrazić nimi wiernie rzeczywistość — tę rzeczywistość hitleryzmu, której oddać nie zdoła język najbardziej bolesny i silny.

...Na Zieleniaku rozjuszyła się bestia. Możnaby powiedzieć, że to, co w człowieku jest najgorsze i najhaniebniejsze, znalazło tu swój krótkotrwały lecz zato zestokrotniony upust. Lecz czy byli to ludzie — owi „kałmucy" essesmani? Czy człowiek może na oczach matki zastrzelić nagle, bez przyczyny, kilkunastoletniego syna? Czy może kopnąć w brzuch ciężarną matkę, która go błagała ze skowytem, aby pozwolili jej przynieść blaszankę wody dla dwojga drobnych dzieci, szalejących z pragnienia? Czy człowiek może oderwać od rodziców nieletnią dziewczynkę, gwałcić ją wobec nich, strzelić im w łeb, gdy się rzucają w jej obronie, a potem z okropnymi wyzwiskami zastrzelić i ją, bo z jej pohańbionego, dziecięcego jeszcze ciała wydobywa się taki spazm bólu, wstydu i rozpaczy, że go ten spazm — miast o litość — przyprawia o wściekłość? Takich widowisk nie oglądał Dostojewski w Martwym domu — i kto wie — może nie oglądano ich nawet w Majdankach i Oświęcimiach. Wystarczy je ujrzeć raz w życiu i przez jedną krótką chwilę, aby do końca życia mieć serce spopielone. Ale czymże jest serce — najbardziej współczujące lecz obce — wobec serca tej matki, na której oczach zamordowano syna, lub tamtej, co kopnięta w ciężarny brzuch, krwawiła się potem długo na ziemi, nie mogąc napoić zanoszących się od krzyku dwojga dzieci, które w nieludzkim wysiłku musiała kołysać i uciszać, aby ich krzyk nie rozjuszył znowu bestii, gotowej dwoma strzałami kazać im zamilknąć na wieki...

...To był Zieleniak, który przez kilka tygodni, dzień po dniu i noc po nocy, dla ludności stolicy stanowił etap w jej męczeńskiej wędrówce z Warszawy do obozu pruszkowskiego. Przez ten etap przeszli przeważnie ludzie starsi i starzy, kobiety i dzieci — bezbronni i bezsilni. I właśnie ich poddał naród niemiecki — poprzez swych wojskowych przedstawicieli, czyli wybrańców swoich — poddał najniższemu urągowisku i upodleniu, na nich przejawił swe okrucieństwo i zdziczałość...

Jerzy Wyszomirski

JAK MIESZKAMY
I JAK BĘDZIEMY MIESZKAĆ

Korespondencja własna „Tygodnia"

Paryż, w sierpniu

Przed paryskim „Grand Palais" na białych, wysokich masztach jedenaście flag...

Ale już na kilka tygodni przedtem nim jeszcze nazwa „Międzynarodowa Wystawa Urbanistyki" uzupełniona została słowem „otwarta", — na wybrzeżu Sekwany trwał ruch. Zniknęły zielone trawniki pod wyrastającymi jak grzyby po deszczu budynkami. Ten nadbrzeżny odcinek wystawy połączony został natychmiast drewnianym mostem, biegnącym ponad ulicą, z centrum wystawowym, które mieści się w samym „Grand Palais".

MIĘDZY NUDĄ I ZAINTERESOWANIEM

Francuski minister Odbudowy spędził na Wystawie, w dniu jej otwarcia, długie godziny. Prawdopodobnie łatwiej mógł trawić wszystkie wykresy i plany ,gdyż w każdym momencie uzupełniało je żywe słowo organizatorów poszczególnych stoisk. Zwykły jednak śmiertelnik rzadko raczej znajdował siłę na samodzielne ślęczenie nad statystykami, — zbyt żmudne i męczące jest doszukiwanie się oblicza danego kraju w natłoku cyfr czy wykresów. Swoje zadanie w stosunku do masy zwiedzających spełnili więc właściwie tylko ci organizatorzy, którzy potrafili wzbudzić zainteresowanie, którzy potrafili przyprawić powagę problemów sosem lekkości i fantazji. A takich, na szczęście dla zwiedzających i dla wystaw, była większość.

Już sam ogólny wygląd olbrzymiej hali „Grand Palais" wykazywał znaczną troskę o stworzenie pewnej całości również i od strony artystycznego punktu widzenia. Sieć białych „rusztowań" przecinających halę wzdłuż i wszerz tworzyła atmosferę harmonijnej płynności i modernistycznego wdzięku architektonicznego. Dzięki tego rodzaju strukturze, wystawa, mimo iż składała się z poszczególnych stoisk, zachowała charakter jednolitości.

BELGIA, FRANCJA SZWAJCARIA — PRZODUJĄ

...Jedynie w Londynie i Zurychu (z miast europejskich) wszystkie mieszkania zaopatrzone są w wodę bieżącą — Sztokholmie już tylko 75 procent, a w Paryżu 60 procent mieszkań może opływać w wodę za pokręceniem kurka. W dziedzinie oświetlenia elektrycznego rekord biją Zurych (100 procent) ,pozostawiając daleko poza sobą Londyn z jego 25 procentami mieszkań zaopatrzonych w elektryczność. W Londynie za to każdy mieszkaniec może bez trudu popełnić samobójstwo przez zatrucie się gazem, podczas gdy mieszkań zaopatrzonych w gaz jest w Paryżu 80 proc. a w Zurychu i w Sztokholmie 75 procent...

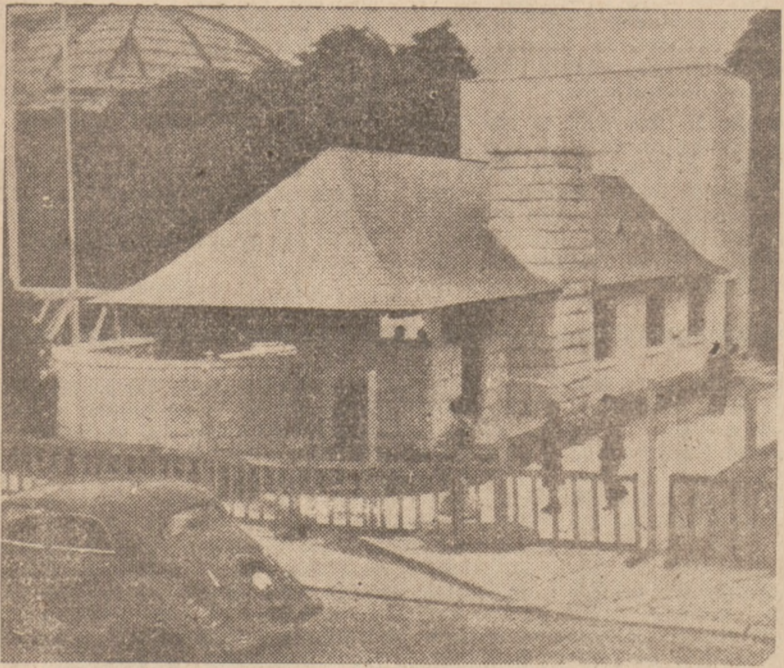
Tego rodzaju interesującymi danymi obdarza zwiedzających Szwajcaria. Już na pierwszy rzut oka uderza w stoisku szwajcarskim polot, nastawienie na przyciągnięcie uwagi widza Cel ten spełniają świetnie pełne fantazji plansze dekoracyjne Hansa Erni i bogactwo zdjęć ze wszystkich zakątków tego pięknego kraju, który nie wie czy istnieją zniszczenia wojenne.

Przedstawione przez Szwajcarię całkowite urządzenie wnętrza jednorodzinnego domu mieszkalnego mówi o celowości i smaku, mimo, że meble nie były specjalnie przygotowywane na wystawę lecz najnormalniej w świecie zakupione w magazynach.

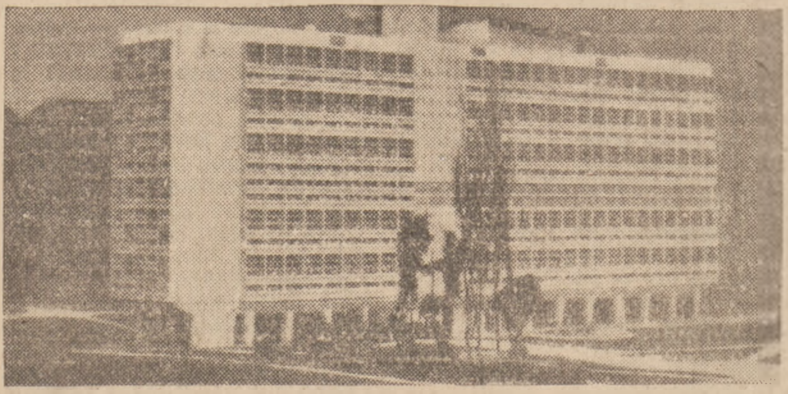
Oczywiście, rekord w ilości zademonstrowanych wnętrz mieszkalnych przypadł w udziale Francji. Mimo, że ruch budowlany jest we Francji raczej słaby (od r. 1918 skonstruowano we Francji domów nowych 11 procent, w Szwajcarii 25 proc., w Ameryce 50 procent), niemniej zainteresowanie problemami architektonicznymi i osiągnięciami w tej dziedzinie jest wielkie. Słabość ruchu budowlanego we Francji tłumaczyć można między innymi niechęcią angażowania w tym kierunku kapitałów prywatnych ze względu na problematyczną raczej opłacalność, gdyż przeciętna cena komornego we Francji wynosi 2 procent zarobku miesięcznego, podczas gdy w Szwajcarii 13 procent, a w Ameryce 25 procent czyli jedną czwartą miesięcznego dochodu obywatela.

Na wystawie Francuzi zademonstrowali przykłady swego budownictwa wiejskiego i miejskiego. Budownictwo w stylu tradycyjnym reprezentuje Roux-Spitz, awangardę architektoniczną Corbusier. Dla określenia charakteru zademonstrowanych domków można się śmiało posłużyć zamieszczonym na wystawie sloganem: „Słońce w domu; zieleń w mieście; radość życia dla wszystkich".

Wspaniały, sześcioosobowy domek belgijski zbudowany i urządzony jest przede wszystkim według zasady: maksimum komfortu przy minimalnym zużyciu miejsca. Patrząc z zewnątrz nie ma się zupełnie wrażenia, że można tu znaleźć pokój bawialny, stołowy, sypialny, dwa dziecinne, łazienkę i kuchnię. — Szafa w ścianie, biblioteka w ścianie, radio w ścianie — wszystko składane, rozsuwane i... praktyczne. W sumie można powiedzieć, że Belgia dała nie tyle obraz skali rozbudowy, ile raczej położyła nacisk na funkcję społeczną w budownictwie.



Dom wykonany z kamienia. Jedna z niewielu solidnych budowli na wystawie w Paryżu.



Dom przyszłości według wizji wielkiego architekta francuskiego — Le Corbusier.

PATRZYMY NA POLSKĘ

To co cudzoziemiec zapamięta najprawdopodobniej ze stoiska polskiego, to rzeczywiście bardzo sugestywną planszę fotograficzną, ukazującą piękno naszego krajobrazu i zabytki historyczne, porozmieszczane na długim prostokącie fotografii barwne figurki typów ludowych tworzą całość żywą i efektowną. Plansza ta stanowi właściwie wprowadzenie na stoisko. Wewnątrz stoiska, jedynym (niestety) plastycznym obrazem odbudowy jest długi szereg domków zajmujący trasę Warszawa — Paryż: przemawiający do wyobraźni sposób przedstawienia naszego dorobku w dziedzinie odbudowy w ciągu dwu lat.

Zmęczony wędrówką przez poszczególne stoiska, widz, nie lubi suchych wykresów i statystyk, choćby kryła się za nimi nie wiem jak bogata i frapująca suma osiągnięć. Ominie wykresy i mapy dotyczące odbudowy i planu trzyletniego tym bardziej, że w celu przeczytania napisów w języku francuskim musi mieć ze sobą lupę (podczas gdy napisy w języku polskim są dostatecznie wielkie).

Zbyt mało było stanowczo na polskim stoisku obrazowości, plastyczne go przedstawienia problemów, przyciągania uwagi zwiedzających efektem. Inaczej robili Francuzi każąc wykresom poruszać się, obracać, statystykę wypowiadać w rzeźbie czy zieleni trawników. A jeśli byłoby to dla nas niemożliwe ze względu na trudności techniczne, większa ilość fotografii również spełniłaby tutaj swoją rolę.

Mimo naszej zupełnej skromności w porównaniu z państwami przodującymi w dziedzinie meblarstwa, dostało nam się trochę komplementów. Oto jak niezmiernie przychylnie pisze „Arts" (pismo najbardziej bodaj rzeczowo zajmujące się omówieniem wystawy): „Polska przedstawiła tylko trzy objekty meblarskie i kilka pięknych tkanin ręcznych, które zasługują na uwagę: rodzaj kredensu, który mimo zadziwiającą niewielkiej objętości zawiera w sobie sześć krzeseł i stół — jest to model szczególnie dokładnie opracowany i świadczący o całkowitym zrozumieniu warunków handlu międzynarodowego. Poza tym fotel - łóżko i wreszcie czarujący fotel trzcinowy.



...Wystarczy przywieźć poszczególne części składowe z fabryki i właściwie już po robocie, bo złożenie całego domku trwa 45 minut. Domek ten ma jeszcze tę zaletę, że po zużyciu może być przetopiony na rondle i garnki, gdyż jest całkowicie wykonany z aluminium.

RESZTA JEDENASTKI

...Czechosłowacja, Dania, Grecja, Islandia, Unia Południowo - Afrykańska, Włochy — to dalsze państwa biorące udział w wystawie (prócz nieoficjalnie znajdujących się (Argentyny, Chili i Rumunii). Wszystkie one, bardziej czy trochę mniej interesująco, dały obraz zniszczeń wojennych (tam, gdzie oczywiście zniszczenia te były) i przekrój przez dotychczasowe dokonania oraz plany na przyszłość. Szwecja pokazała dwa interesujące typy domków standartowych, w bogatym stoisku Włoch znalazły miejsce i arcydzieła sztuki — Leonardo da Vinci, Tycjan. W Czechosłowacji nacisk został położony na nacjonalizację, przemysł oraz plan dwuletni (wszystko ilustrowane niezmiernie bogato fotografiami) Za motto całej wystawy można uważać zamieszczoną nad stoiskiem greckim wypowiedź Platona:

„Najwyższą i najpiękniejszą formą myśli jest myśl dotycząca harmonijnej rozbudowy miasta".

Zbigniew Stolarek.

Nowe książki

Wiktor Jakubowski — Słownik Rosyjsko - Polski i Polsko - Rosyjski — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947 r.

Julian Tuwim — Wybór Poezji (1914 — 1939) — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947.

Józef Fel... — Bismarck a Polska. Wydanie drugie — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947 r.

Ludwik Krzywicki — Wspomnienia. (tom pierwszy), obejmujące lata 1859 — 1885. Żywoty nieurojone.

Czesław Jacek Centkiewicz — Wyspa mgieł i wichrów. Wydanie trzecie. Pierwsza polska ekspedycja międzynarodowego ruchu polarnego 1932/33 Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947 r.

Aniela Gruszecka — w Grodzie ...ków. — Opowieść. Wydanie trzecie z ilustracjami Jerzego Karolaka Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

... Rymkiewicz — ...dem. — Poezje Wydawnictwo „Panteon" 1947 r. utwory ... ed 1.IX.19.. r.

... Remarque ... falny. — Tłum. W... Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" 1947 r.

JAK PRACUJĄ ODDZIAŁY „SPOŁEM"

Oddział Powiatowy w Częstochowie

Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem" pokrywa całą Polskę siecią swoich oddziałów, które zaopatrują Spółdzielnie w towary, a także obsługują w granicach rozdziału artykułów monopolowych i przydziałowych sektor handlu prywatnego.

Oddział Powiatowy „Społem" w Częstochowie mieści się przy ul. 1-go Maja 4, telefony: 10-10, 10-20 i 10-30. Oddział istnieje od 1917 r. i w chwili obecnej zatrudnia 120 pracowników.

Oddział prowadzi następujące hurtownie: soli, tytoniową, wyrobów P.M.S. oraz Powiatową Zbiornicę Jaj.

Finansowo Oddział znajduje się w dobrych warunkach. Obroty Oddziału wynoszą ca 100 milionów złotych miesięcznie.

Bolączką Oddziału są warunki magazynowe. Magazyny często nie odpowiadają potrzebom Oddziału i rozłożone są na terenie 9-ciu dzielnic miasta.

Kierownictwo Oddziału od 1.IX.1946 r. spoczywa w ręku p. Gustawa Chawryłło, długoletniego działacza spółdzielczego, którego sprężystości i energii Oddział zawdzięcza dzisiejszą swoją pozycję rozwojową, jest bowiem najpoważniejszą placówką gospodarczą w powiecie. (a)

POWIATOWA SPÓŁDZIELNIA ROLNICZO-HANDLOWA w Sokołowie Podlaskim

Pow. Spółdz. Roln.-Handl. w Sokołowie Podl., ul. Rogowska 1, powstała w 1938 r. Zniszczona w czasie działań wojennych w 1944 r. ponownie rozpoczęła swoją działalność i obecnie prowadzi 5 sklepów i Powiatową Zbiornicę Jaj, zrzeszając 5.000 członków i zatrudniając 42 pracowników. Spółdzielnia dostarcza rolnikom: maszyny i narzędzia rolnicze, nasiona, nawozy sztuczne, materiały budowlane i artykuły gospodarstwa wiejskiego oraz skupuje ziemiopłody, a także wykonuje różne akcje zlecone. Obroty Spółdzielni w roku gospodarczym 1946 — 1947 osiągnęły 50 milionów zł. Zarząd Spółdzielni stanowią: Wiktor Dmowski — prezes, Wincenty Krysiak i Józef Bałkowiec — kierownik. (a)

SPÓŁDZIELCZA STACJA OBSŁUGI SAMOCHODÓW 7c w Kaliszu

W Kaliszu przy ul. Krótkiej nr 7 istnieje od maja 1946 r. Stacja Obsługi Samochodów 7c „Społem". Stacja w chwili obecnej zatrudnia 17 pracowników i wykonuje: kapitalne remonty samochodów, wylewanie łożysk ślizgowych i korbowodowych pod rozbryzgiem, siłą odśrodkową. Ponadto stacja posiada umywalnię samochodów, dokonuje przeglądów technicznych i oceny samochodów itp.

Obroty stacji w 1946 r. dały 3.002.950 zł, na rok bieżący preliminowano je w wysokości 7.000.000 zł.

Kierownikiem stacji od chwili jej powstania po dzień dzisiejszy jest p. Czesław Tynin, który zamierza rozszerzyć działalność Stacji tak, by mogła ona zatrudnić 50 pracowników i mogła obsłużyć tabor samochodowy wszystkich istniejących w powiecie kaliskim spółdzielni. Ponadto jeszcze w sierpniu br. przewiduje się otwarcie specjalnego półrocznego kursu dla monterów samochodowych. Od słuchaczy kursu wymagane będzie wykształcenie ogólne w zakresie 7 klas szkoły powszechnej. Wykłady teoretyczne odbywać się będą w godzinach wieczornych, a praktyczne zajęcia w ciągu dnia na Stacji. (a).

OGNIOWA PRÓBA

SPÓŁDZIELCZOŚĆ ZDAŁA EGZAMIN NA PRZEDNÓWKU

W momencie kiedy w całej Polsce jest już po żniwach, kiedy stopniowo napełniają się stodoły i tu i ówdzie rozpoczyna się młocka, możemy sobie powiedzieć, że przednówek mamy już za sobą. Wbrew obawom i niektórym przewidywaniom przednówek minął dla przeciętnego obywatela w sposób niezauważony. Nigdzie nie zdarzyło się, żeby na rynku zabrakło chleba, bądź żeby przydziały aprowizacyjne były wstrzymane. Miejscowe haussy szybko były opanowywane i to głównie dzięki skutecznym interwencjom gospodarczym z zasobów Funduszu Aprowizacji.

Powierzchowny obserwator mógłby stąd wyciągnąć wniosek, iż wyszliśmy już z okresu wojennego niedoboru, że staliśmy się krajem samowystarczalnym zbożowo. Tym bardziej, że na krańcu przednówka mamy jeszcze pewne zasoby zboża starego.

Byłby to wniosek nieuzasadniony. Zarówno z oświadczeń oficjalnych, jak i obliczeń wynika, że zarówno w tym roku, jak i w latach najbliższych ciągle jeszcze cierpieć będziemy na niedobór zboża chlebowego. Rzecz w tym, żeby tego niedoboru nie odczuwała ludność. Dla zapobieżenia najbardziej dotkliwemu spośród wszystkich braków — bo brakowi chleba, musimy być przygotowani na stosowanie dwojakiego rodzaju środków. Jeden z tych środków — to import. Bez importu żadną miarą nie starczy nam zboża. Drugi środek — to należyta gospodarka posiadanymi zasobami, to sprawna o r g a n i z a c j a r y n k u. Tylko na tej drodze można zapobiec niedoborom oraz spekulacji, która uderzyłaby w podstawy bytu rzesz pracujących.

Na zasadzie doświadczeń dobiegającego do kresu sezonu przednówkowego możemy stwierdzić, iż posiadana organizacja zakupów, zbytu, interwencji nie zawiodła. Zdała ogniową próbę przednówka. Szczęśliwe pokonanie trudności stało się możliwe dzięki temu, iż od samego zarania niepodległości zaczęliśmy tworzyć wszędzie sięgającą sieć organizacji społeczno - gospodarczej, sieć spółdzielczości. Organizacja ta zdała egzamin. Należy wątpić, żeby bez jej istnienia możliwe było przeprowadzenie akcji skupu i rozprowadzania nadwyżek zbożowych zarówno w okresie, który kończymy, jak i w następnym, do którego się przygotowujemy.

Na samym wstępie Związek Gospodarczy „Społem" zaofiarował gotowość dostarczenia Funduszowi Aprowizacyjnemu trzydziestu tysięcy ton zboża. Ilość ta została nie tylko osiągnięta, ale i znacznie przekroczona, już bowiem w połowie lipca zakupiono ponad pięćdziesiąt tysięcy ton zboża. Na tym nie kończy się jednak wkład spółdzielczości. Fundusz aprowizacji dokonywał oprócz tego zakupów na własną rękę. Jednakże jest rzeczą zrozumiałą, iż w akcji tej musiał opierać się na organizacji posiadającej po temu odpowiedni aparat techniczny i ludzki. Trzeba stwierdzić, że był to właśnie aparat spółdzielczy. Innej organizacji, która by mogła zastąpić spółdzielczość w tej mierze, nie posiadamy.

Analiza zakupów pozwala stwierdzić, iż 85% wszystkich zakupów zboża dla Funduszu Aprowizacyjnego dokonane zostało za pośrednictwem aparatu spółdzielczego. Pozostałe piętnaście procent przypada na sektor państwowy i prywatny. Działały tutaj zarówno spółdzielnie rolniczo - handlowe i „Samopomocy Chłopskiej", jak i młyny spółdzielcze, przede wszystkim zaś młyny „Społem", jak również oddziały i okręgi „Społem", jako podstawa organizacji zakupu. Akcja natrafiała na duże trudności, tak ze względu na sezon przednówkowy, jak i również z tego powodu, że dostawy artykułów przemysłowych dla obrotów wiązanych nie zawsze dopisywały.

Z doświadczeniami osiągniętymi dotychczas należy liczyć się przy wkraczaniu w sezon następny. Tu już zawczasu trzeba zdążać do uchwycenia wszelkich nadwyżek zbożowych, tak, żeby nie stały się one przedmiotem spekulacji. Do tego celu służyć będzie w dalszym ciągu aparat spółdzielczy, który może być jednak bardziej jeszcze uaktywniony w dziedzinie akcji zbożowej. Podczas ubiegłego przednówka udział w akcji zbożowej zadeklarowało 540 spółdzielni rolniczo - handlowych, 271 oddziałów „Społem" i 292 spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Jak się dowiadujemy, obecnie znacznie jeszcze większa ilość spółdzielni przygotowała się do akcji zbożowej i deklaruje swój udział. Można tedy przystąpić do akcji, opierając się na sprawnym, wypróbowanym i jeszcze rozszerzonym aparacie spółdzielczym.

Spółdzielczość deklaruje całkowitą swoją gotowość do pracy, będącej jednym z podstawowych jej zadań — bo do pracy zaopatrzenia ludności w chleb. Nie jest to pusta deklaracja.

Centralne urządzenia magazynowe jak i elewatory o pojemności 188.000 ton, magazyny i silosy przy młynach o pojemności 258.000 ton, sieć magazynów i elewatorów będących w dyspozycji poszczególnych spółdzielni w całym kraju, 280 młynów „Społem", fachowy aparat ludzki, techniczny i transportowy, to zadeklarowany przez spółdzielczość wkład w zbliżającą się kampanię chlebową.

S.

O PRZYSPOSOBIENIE KADR MŁYNARZY

Zagadnienie dobrego chleba i należytej organizacji młynarstwa, uzależnione jest od posiadania dostatecznej liczby licznych i wyszkolonych kadr młynarzy. Pod tym względem dają się odczuć duże braki, coraz dotkliwsze wskutek tego, iż nie posiadamy dotychczas ośrodków szkoleniowych w dziedzinie młynarstwa.

Żeby temu zapobiec, „Społem", które posiada około 300 własnych młynów, zorganizowało w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty roczny kurs dla majstrów młynarskich.

Uczestnikami kursu mogą być dyplomowani czeladnicy, którzy po ukończeniu otrzymają dyplomy mistrzowskie.

Przyjmowani są również uczestnicy bez dyplomów czeladniczych, mogący się jednak wykazać praktyką. Ci mogą ewentualnie uzyskać stopień podmajstrzego i po dalszej praktyce dojść do stopnia mistrza.

Zasadniczym warunkiem przyjęcia jest wiek od 18 do 40 lat, ukończenie conajmniej 7-klasowej szkoły powszechnej i 3 lata praktyki w ruchu młyna. Nauka i internat na razie bezpłatne, z tym, że uczestnicy będą spłacali należność ratami z przyszłych poborów. Najlepsi uczniowie zostaną zwolnieni również i od tej opłaty.

NOWE ARTYKUŁY KOLONIALNE NA RYNKU

„Społem" rozprowadza po rynku szereg artykułów kolonialnych jak pieprz, piment (ziele angielskie), liść bobkowy i papryka. Artykuły te są torebkowane i zaopatrzone napisem „Społem", co gwarantuje ich oryginalne pochodzenie.

W ciągu sierpnia spodziewany jest import arbuzów, wanilii, fig i orzechów, które również rozprowadzone będą poprzez spółdzielnie.

CENA CUKRU WYTRZYMAŁA PRÓBĘ KRYTYCZNĄ

Pomimo wyjątkowego zapotrzebowania na cukier w związku z okresem przygotowywania konfitur, soków owocowych itd., cena tego produktu utrzymała się na poziomie. Zawdzięczać to należy dostatecznie gęstej sieci spółdzielni, które dostarczając wszędzie cukier po nominalnych cenach, uniemożliwiły wszelkie zakusy spekulantów.

UWAGA NA CENĘ OCTU!

Zbliża się sezon konserwacji jarzyn. W związku z tym daje się zaobserwować wzmożony popyt na ocet. Już na rynku dały się zauważyć usiłowania spekulantów do wyśrubowania ceny octu niekiedy do 100 zł za litr, podczas gdy cena octu nie może przekraczać 75 zł za litr plus zastaw za butelkę.

Dla zapobieżenia spekulacji „Społem" zabiega o zwiększenie przydziałów esencji octowej.

600 TYS. TON WĘGLA na zaopatrzenie miast i wsi

Według posiadanych ze źródeł miarodajnych informacji na miesiąc sierpień, wrzesień i październik, ma być przydzielonych 600 tys. ton węgla na zaopatrzenie na zimę ludności pracującej miast oraz na akcję wiązaną dla wsi. Co miesiąc miasto i wieś otrzymają po 100 tys. ton węgla.

Aparat „Społem" i spółdzielnie przygotowują się do rozdziału węgla, ażeby załagodzić brak opału.

Fabryka Przetworów Owocowo-Warzywnych w Piotrkowie Trybunalskim

Jednym z większych zakładów wytwórczych „Społem" jest fabryka Przetworów Owocowo-Warzywnych w Piotrkowie Trybunalskim, ul. Limanowskiego 47. Istnieje od 1943 r. i stanowi własność państwa. Na mocy umowy dzierżawnej Fabryka przejęta została przez Związek Gospodarczy Spółdzielni R.P. „Społem".

Zwiedziliśmy szczegółowo fabrykę i stwierdziliśmy, że choć znajduje się jeszcze w stadium organizacji, pracuje na trzy zmiany, zatrudniając w chwili obecnej 101 pracowników. W sezonie przewidywane jest zatrudnienie ponad 200 pracowników.

Fabryka prowadzi następujące działy 1) dział marmolad, soków owocowych i dżemów, 2) suszarnictwo warzyw i owoców i 3) kwaszarnię ogórków i kapusty. Produkcja fabryki jest standaryzowana. Wysoki gatunek jej produktów: czysto-owocowych marmolad o 50% zawartości cukru, dżemów — 60% cukru i soków — powyżej 60% cukru — zapewnia im wszędzie chętnych odbiorców. Toteż znane są one w dalej dosłownie Polsce.

Najlepiej scharakteryzują rozwój fabryki cyfry. Jej obroty w okresie od 15. XI. do 31.XII. r. ub. (sześć tygodni) osiągnęły kwotę 16 milionów złotych. Styczeń r.b. dał — 8,5 miliona zł, a luty r.b. — około 14 milionów złotych.

Fabryka ma przed sobą duże możliwości rozwojowe, albowiem: 1) położona jest w ośrodku owocowo-warzywnym, za jaki uważać należy powiaty piotrkowski i radomszczański 2) obszerny gmach, który zajmuje, pozwala na wydatne poszerzenie jej obecnych działów produkcji. Z tego też względu kierownictwo fabryki, skoro tylko kredyty inwestycyjne pozwolą na unowocześnienie jej urządzeń, przewiduje dalszy wzrost obrotów do globalnej rocznej sumy 240 milionów złotych. Wpłynie na to bezwzględnie i to jeszcze, że fabryka w roku bieżącym przystąpi do produkcji konserw jarzynowych w puszkach.

Przy fabryce istnieje przedszkole, w którym dzieci robotnic fabrycznych znajdują troskliwą opiekę, otrzymując pełne wyżywienie. Sekcja Kulturalno-Oświatowa, która powstała przy fabryce, koncentruje w sobie wszystkie poczynania na tym ważnym odcinku pracy społecznej. Do najbardziej udanych jej imprez zaliczyć należy tradycyjny „opłatek", zorganizowany w grudniu r. ub., który zgromadzonym pracownikom dał niezapomniane chwile podniosłego nastroju. W najbliższym czasie powstanie przy fabryce klub sportowy, który da możność wyżycia się sportowego nie tylko pracownikom wszystkich lokalnych placówek „Społem", ale i — całej piotrkowskiej spółdzielczości.

Kierownictwo fabryki od 15.XI 1946 r. spoczywa w ręku p. Longina Chamskiego, który tę ważną dla powiatu placówkę gospodarczą podniósł i ożywił, a w dalszych zamierzeniach pragnie jeszcze wydajniej poszerzyć jej działalność. (a)

EDWARD LIGOCKI

PONURE HISTORIE

O SZKOCKICH DUCHACH I UPIORACH

Dwa są kraje, w zasięgu bieguna północnego, w których niesamowite historie o duchach i upiorach powtarzane są bez końca — i gdzie najfantastyczniejsze opowieści nie należą do zamierzchłej przeszłości, a uważane są za rzeczywistość codzienną — to Islandia i Szkocja.

Daleka wyspa północna, Islandia, kraj kontrastów dni i nocy polarnych, kraj kontrastów natury — lodów i kipiących gejzerów — traktuje te nadprzyrodzone tematy w sposób bardzo swoisty, nie otrząsa się bowiem od objawów zaświatowego bytowania i traktuje to wszystko pod kątem familijnego współżycia, o ile można się tak wyrazić. Islandczycy twierdzą, że są przyzwyczajeni do obecności jaw i duchów po domach i że to im zupełnie nie przeszkadza—są to dla nich zadomowieni, raczej sympatyczni goście z innego wymiaru, od których nic specjalnie nie dzieli i nie odstręcza — a nawet wprost przeciwnie — traktują owych pojawiających się i znikających dowolnie przybyszów życzliwie i sympatycznie i nie mają najmniejszego zamiaru wchodzić z nimi w konflikty.

Legendy i opowieści szkodzkie o duchach i upiorach mają zupełnie inny charakter. Są przede wszystkim ponure i wlecze się za nimi swąd zbrodni i krwi. Nie jest to nawet dziwne w tym kraju, gdzie spośród kilkudziesięciu królów dwóch, czy trzech umarło zwyczajnie w bojach — a przeważająca większość padała regularnie ofiarą spisku i skrytobójstwa. Szkot zimny i opanowany jest tylko pozornie — jest to pokost **angielski** i to stosunkowo świeży, sięgający połowy XVIII-go wieku, i to w sferze intelektualnej przeważnie. Lud szkocki wyszedł właściwie z wlokącego się za nim średniowiecza niespełna sto lat temu, za czasów królowej Wiktorii, gdy nagłe uprzemysłowienie i bogactwo kolonialne spadło złotym deszczem na kraj, przyzwyczajony dotychczas do ubóstwa i samowystarczalności. Szkot jest twardy z natury, zawzięty i mściwy. Bywa sentymentalny — ale sentyment, zwłaszcza niezaspokojony, przeradza się u niego łatwo w nienawiść. Oczywiście jest to dziś wzięte w ryzy pokostu cywilizacyjnego — ale wybuchy nienawiści nie są wśród nich zjawiskiem rzadkim. Widać to zresztą z przewodów sądowych i z ogromnie rozbudowanego sądownictwa.

Dzieje Szkocji — to niekończące się historie walk z najazdami. Ze wszystkich stron pełno tam było nieproszonych gości — wikingów, Piktów, zagonów saksońskich, normadzkich, norweskich, irlandzkich — i, regularnie, w ciągu wieków późniejszych, angielskich, aż do bitwy pod Culloden w r. 1745. Szkot w tych warunkach stawał się ponury i mściwy. Żył w systemie klanowych grup plemiennych — i jak na Korsyce, dzielił sympatie i nienawiści klanu. I dość było, jeżeli dajmy na to, Macdonaldy szkockie walczyły z Anglikami — by wrogowie ich szkoccy, również Campbelle, sprzymierzali się z najeźdźcą — i odwrotnie. A potem następowały klanowe i rodzinne porachunki, trwające po kilkaset lat. Gdy się doda do tego ciężkie warunki klimatyczne i potworne wichry, wiejące od bieguna, z Norwegii, czy z grenlandzkich okolic oceanu — trudno się dziwić, że życie tego kraju obfitowało w ponure barwy, podsycane dość często fa-



Rys. K. Mann

łami głodu na jałowych bagnach północnych — i że folkor szkocki wytworzył świat duchów, również posępnych i złych, jak to życie, które otaczało ich surowe i niewygodne osiedla.

Nie ma bodaj kąta w tym kraju, niezwiązanego z jakąś ponurą i niesamowitą historią. Gdy studiuje się legendy i opowieści szkockie o zjawach z zaświata — rozróżnić w nich można dwie grupy: historie o upiorach i historie o duchach. Upiory — są to mniej cywilizowane, znacznie dziksze, złośliwe szydercze istoty, lubiące tylko nękać i trwożyć żyjących, zupełnie bez powodu. Upiór szkocki — jest to zawsze podskakujący, gryźliwy, chichoczący złośliwie szkielet z resztkami wygniłych mięśni i łachmanów, cuchnący i wstrętny, z mniej czy więcej rozpłyniętymi oczami. Duch z legendy, ukazujący się gdzieś na zamku, czy w ruinach klasztornych, wygląda zupełnie inaczej, zbliża się do typu legend kontynentalnych, ma pozory istoty żyjącej, różni się od niej tylko strojem z innej epoki. Są między nimi duchy dobre i złe, groźne i neutralne, są duchy niewinne i sympatyczne — jest cała galeria typów i indywidualności. Upiór szkocki natomiast zawsze jest nieinteligentny, odrażający i jak kropla wody podobny do innego upiora.

W kolorze jest zgniło brunatny, z jaśniejszymi plamami kości. Różni się on wyglądem od kolorowych upiorów z kontynentu — gdyż upiór polski bywa często w wyobraźni ludu purpurowy, od przelanej ongiś krwi, czy nadużycia trunków — upiór prowansalski jest zielono-szary. Rzeczą ciekawą jest, że świat upiorów i świat duchów jak gdyby nie stykają się z sobą i unikają wzajemnie. Są miejsca wzięte w posiadanie przez duchy i tam żaden upiór nigdy się nie zjawi.

Gdy spojrzy się w krwawe dzieje mordowanych królów Kaledonii, można się spodziewać, że echa tych wydarzeń wpłynąć musiały na kształtowanie się szkockiego folkloru. I rzeczywiście, legenda wiąże się przede wszystkim z dziejami dawnych zamków królewskich, rozrzuconych po całym kraju i niejednokrotnie znajdujących się w dość dobrym stanie.

Najbogatszym z legendy jest starożytny zamek Glamis, należący do rodziny. Bowes — Lyon, noszącej w starszej linii tytuł earl'ów (hrabiów) Strathmore. Właśnie na tym zamku przyszła na świat obecna królowa Anglii i Szkocji, jako córka 13-go earl'a na Strathmore i Glamis. Jest w tym ogromnym zamku całe skrzydło, do którego nigdy nikt nie zapuszczał się w nocy — a w opublikowanych już dość dawno wspomnieniach jednej z dam dworu królowej Wiktorii mnóstwo jest szczegółów o tym właśnie skrzydle i o niesamowitych wydarzeniach, które miewają tam miejsce. Zacna starsza lady, która trzy razy ryzykowała pójście na eksperymenty w Glamis, przeżyła tam mnóstwo emocji — i wreszcie jakiś fakt tak okropnego przerażenia — że nie podaje o tym ostatnim ewenemencie szczegółów. Dość, że jej mąż, który towarzyszył jej w tej wyprawie, zmarł kilka dni później z wyrazem obłędnego lęku w oczach, a ciekawa lady napisała wysoce denerwującą książkę i wkrótce połączyła się ze swym małżonkiem w grobie rodzinnym.

Rzecz dziwna jednak, że zamek w Glamis, pomimo tej nieodwiedzanej części gmachu, cieszy się opinią rezydencji ludzi szczęśliwych, a cała rodzina Strathmore'ów znana jest z pogodnego usposobienia, dobroci i innych zalet umysłu i serca. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że duchy z Glamis objęły w posiadanie tę część budynku, gdzie niegdyś żyły za czasów wędrówki ziemskiej, że nigdy nie niepokoją mieszkańców zamku i włosek i że tylko głęboko nienawidzą intruzów, zakłócających ich spokój.

Warto jest spojrzeć w ten świat — na stare zamki Malcolmów, Macbethów i Dawidów Szkockich i na trwające w tych murach legendy, które tak głęboko weszły w życie tej ziemi.

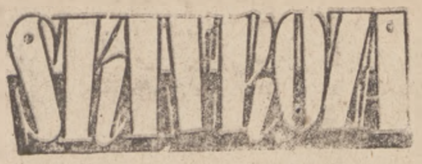
KRONIKA KULTURALNA

„PRECZ ZE STAROKAWALERSTWEM i staropanieństwem! Niech żyje małżeński stan!" — Pod tym hasłem, z powodu braku papieru, zaczęło w Polsce wychodzić nowe pismo pt. „Głos Serca". Jest to, jak opiewa podtytuł, „biuletyn towarzysko - matrymonialny". Wobec tego, że miłość jest stara jak świat, trudno żądać od „Głosu Serca", aby przynosił rewelacje i sensacje. Z konieczności powtarza on w swych artykułach i felietonach odwieczne prawdy w rodzaju: „Kobieta jest sentymentalna, uczuciowa i słaba, więc wymaga miłości i rycerskości"; albo: „Miłość jest epizodem w życiu mężczyzny, lecz treścią życia kobiety"; albo: „Najlepiej brać sobie żonę bez teściowej" itp. Wszelako nie artykuły i nie aforyzmy jak powyższe — stanowią linię generalną i kręgosłup ideowy nowego organu, który poczytnością pobije bezwątpienia wszystkie pisma krajowe. Kręgosłupem „Głosu Serca" są „oferty towarzysko - matrymonialne". Dalecy jesteśmy od węszenia w nich pornografii, jak to zwykli w takich wypadkach robić satyrycy, nie mamy również zamiaru podkpiwać z ich odwiecznego szablonu, na który składają się takie frazesy, jak: „cel matrymonialny" lub: „wojskowi mile widziani" czy też: „za zwrot fotografii ręczę honorem". W ofertach matrymonialnych uderzył nas ich „wydźwięk" (to słówko jest dziś modne) społeczno - gospodarczy: przytłaczająca większość oferentek i oferentów, to inteligencja pracująca: urzędnicy (państwowi) i urzędniczki, biuraliści i biuralistki. Myślą sobie pewnie tak: ja mam dziesiątkę i 3.400 miesięcznie, mój przyszły może ma dziewiątkę i 3.800, razem będziemy mieli 7.200 — no, to już można żyć.

KRONIKARZ „Nowin Literackich" — St. Ryszard Dobrowolski bawi na „wczasach" czy też we „wczasowisku": nie jesteśmy pewni, jak to się dzisiaj mówi. Przebywa mianowicie nad morzem, w Ustce, jak wynika z jego ostatniej kroniki. Co to jednak znaczy obcowanie z naturą! Gdy siedział w dusznej zgruzowanej Warszawie, gdy się odżywiał wódką i czarną kawą po zadymionych knajpach, gniewliwość i pesymizm żarły mu wątrobę. Teraz, oczyszczony rzeźką falą Bałtyku, proszę posłuchać jak pisze: „Jedynymi realnościami są tu morze, piasek wybrzeża, słońce i las — i wśród takich tylko realności tu się istnieje, jedyną zaś problematyką są przewidywania meteorologiczne i gastronomiczne na dzień jutrzejszy... Codzień, od wczesnych godzin porannych, na wąskiej wstędze jasnych piasków, dzielących ciemnozieloną ścianę lasów i tonące w zieleni miasteczko od nieogarnionej przestrzeni wód, roi się od szczęśliwców płci obojga, przybyłych tu po radość i zdrowie..." Toż to poezja! Toż to zdrowy duch w zdrowym ciele! I pomyśleć, jak tanim kosztem można taki błogostan osiągnąć: trochę ozonu (morskiego) i zsiadłego mleka.

AFERY... AFERY... Oto znak czasu, oto jedno z cuchnących następstw wojny. Papiernicze, włókiennicze, cukrownicze — szatan wie jakie. Teraz mamy w Łodzi aferę „maturalną". W żargonie dziennikarskim została ona nazwana sensacyjną, olbrzymią, zataczającą coraz szersze kręgi. Kilku uczniów gimnazjalnych przy pomocy woźnego wydobyło podstępnie z Państw. Zakł. Wyd. Szkolnych blankiety świadectw dojrzałości i, preparując je odpowiednio, sprzedawało je pasorzytom i głupcom, którzy chcieli, żeby pieczone gołąbki same szły do gąbki. Początkowo „matura" kosztowała 12 tysięcy zł. stopniowo cena wzrastała niczym cena wyrobów monopolu spirytusowego, podlegając „żelaznemu prawu" popytu, aż doszła do 30 tysięcy. Ciekawa byłaby „geneza psychologiczna" tej afery. Oczywista, górującym czynnikiem stała się zaraźliwa żądza łatwych dochodów i użycia, której przykład dają młodzieży dorośli. Ale kto wie, czy nie przejawiły się tu w smutny sposób skutki konspiracji okupacyjnej, kiedy podrabianie dokumentów było procedurą normalną — co więcej: koniecznością i zasługą. A każde zjawisko może być przecie dobrze i źle przez człowieka zużytkowane.

St. Łatka



DAS EWIG WEIBLICHE

W N-rze 22/46 „Tygodnia“ w „Kronice kulturalnej“ umieściłem notatkę o książce pt. „Bolesław Prus“. Stwierdziłem, że wiele ocen i sądów literackich ,wydanych w niej, brzmi niemal identycznie z sądami, które wypowiedzieli dawniej Chmielowski, Kridl i Szweykowski. Na dowód przytoczyłem numery odpowiednich stronic z omawianej książki i z dzieł wzmiankowanych pisarzy. Nie wymieniłem nazwiska autora książki, ponieważ nie miałem zamiaru ani dokuczać mu osobiście ,ani wskazywać na niego palcem.

Autor książki zastanawiał się długo nad odpowiedzią na moją notatkę i wreszcie ujawnił się, nadsyłając w tej materii list do redakcji „Tygodnia“. List został opublikowany w N-rze 31/55. Podpisany był w ten sposób: „dr Janina Kulczycka - Saloni — autorka jedynej pracy pt. „Bolesław Prus“, ogłoszonej po wyzwoleniu“. Zanim przystąpię do rozprawy z nim, muszę podnieść fakt, że praca dr Kulczyckiej - Saloni przestała być „jedyną“, w międzyczasie bowiem wyszła kapitalna, źródłowa, dwutomowa monografia o Bolesławie Prusie — owoc wieloletnich badań prof. Zygmunta Szweykowskiego w sensie literackim poniekąd wierzyciela dr Kulczyckiej-Saloni.

Teraz do rzeczy. Co wstrzymywało Kulczycką - Saloni od skarcenia co się zowie „niesumiennego i nieostrożnego dziennikarza“, jak mnie w swym liście określa? Dobre kobiece serce. Pisze mianowicie, że mogłaby skorzystać z art. 255 K. K. czyli wytoczyć mi proces o zniesławienie; mogłaby zaskarżyć mnie do sądu koleżeńskiego Zw. Zaw. Literatów. Ale nie uczyni tego. Żąda tylko obwieszczenia w „Tygodniu“, że w przedmowie do swej książki zaznaczyła, iż stanowi ona nie tyle „własne osiągnięcie“, ile „zestawienie wyników badań naukowych“ nad Prusem, i że na końcu książki, w wykazie bibliograficznym, wyliczeni są również Chmielowski, Kridl i Szweykowski jako jej „źródła“.

Przeczytawszy list, zadumałem się nad tym, jakbym się bronił przed sądem, gdyby wielkoduszna autorka poszła nie za głosem serca lecz zemsty. Broniłbym się tak: Otworzyłbym np. Szweykowskiego na str. 33 i odczytał zdanie następujące: **„Prus chciał zwalczyć dotychczasowe schematy dziennikarskie, usunąć to, co w prasie uważał za szkodliwe lub niepotrzebne“.** Po czym rozwarłbym Kulczycką na str. 42 i wyrecytował: **„Chciał więc Prus zwalczać wady współczesnego sobie dziennikarstwa, usunąć ze swego pisma to, co uważał za szkodliwe lub niepotrzebne“.**

Z kolei odsłoniłbym Kridla na str. 38: **„Thackeray... jest mniej uczuciowy bardziej opanowany, a jakkolwiek hołduje również ideałom humanitarnym ,poglądy swoje i uczucia kryje pod maską ironii i szyderczego uśmiechu...“** I znowu przewertowałbym Kulczycką i na str. 26 znalazł: **„Thackeray... jest on mniej uczuciowy, bardziej opanowany i jakkolwiek niewątpliwie ulega panującemu wówczas w Anglii humanitaryzmowi, jednak maskuje się szyderczym, złośliwym uśmiechem...“** I tak w dalszym ciągu.

Na to usłyszałbym od prokuratora:

— Tak, ale przecie autorka podała na końcu książki wykaz bibliograficzny ,w którym wyszczególniła i Szweykowskiego i Kridla jako swe źródła.

— Owszem, panie prokuratorze — odparłbym: — Zgoda. Jednakże zasady pracy naukowej wymagają, żeby — jeśli się kogoś cytuje — powołać się lojalnie na niego w odsyłaczu. Nie wystarcza w takich wypadkach ogólnikowe wymienienie „źródeł“ na końcu książki.

Dlaczego dr Kulczycka - Saloni nie porobiła w takich wypadkach odsyłaczy? Czyżby przez zapomnienie? Objaw sklerozy? Niemożliwe. Skleroza — to starczość. A dr Kulczycka - Saloni jest młodą, prześliczną blondynką, pełną wdzięku i uroku.

St. Łatka

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Dnia 1 sierpnia ukazał się w Stanach Zjednoczonych A. P. nowy niebieski znaczek lotniczy, wartości 25 centów, przeznaczony do korespondencji przez Pacyfik.



W Czechosłowacji, w związku z odbywającym się w czasie od 20 lipca do 17 sierpnia światowym festiwalem młodzieży demokratycznej, wyszły dnia 20 lipca dwa znaczki okolicznościowe, wartości 1,20 (brunatnoczerwony) i 4 korony (ciemnoniebieski). Rysunek jednakowy dla obu znaczków, przedstawia trzy głowy, zestawione profilem, a na tle ich włosów i cienia, tworzącego coś w rodzaju sylwetki lecącego ptaka, widzimy koło z literami: FMJD (Fédération Mondiale de la Jeunesse Démocratique). To koło ma być podobno symbolem słońca.

W związku z tym dziełem, pędzla prof. Józefa Lieslera, rozpoczęła się w całej czechosłowackiej prasie filatelistycznej nagonka na działalność wydawniczą Ministerstwa Poczt. Organ Związku Czechosłowackich Stowarzyszeń Filatelistycznych — „Československá Filatelie“ rozpoczął nawet zbieranie listów z protestami przeciwko niskiemu poziomowi znaczków, by złożyć je wraz z odpowiednim memoriałem u ministra Poczt.

Znając omawiane znaczki tylko z reprodukcyj w prasie oraz z przesłanego mi prospektu Agencji Filatelistycznej przy Urzędzie Pocztowym, Praga 1, a nie z oryginału, nie mogę chwilowo wyrazić własnego zdania na ten temat.

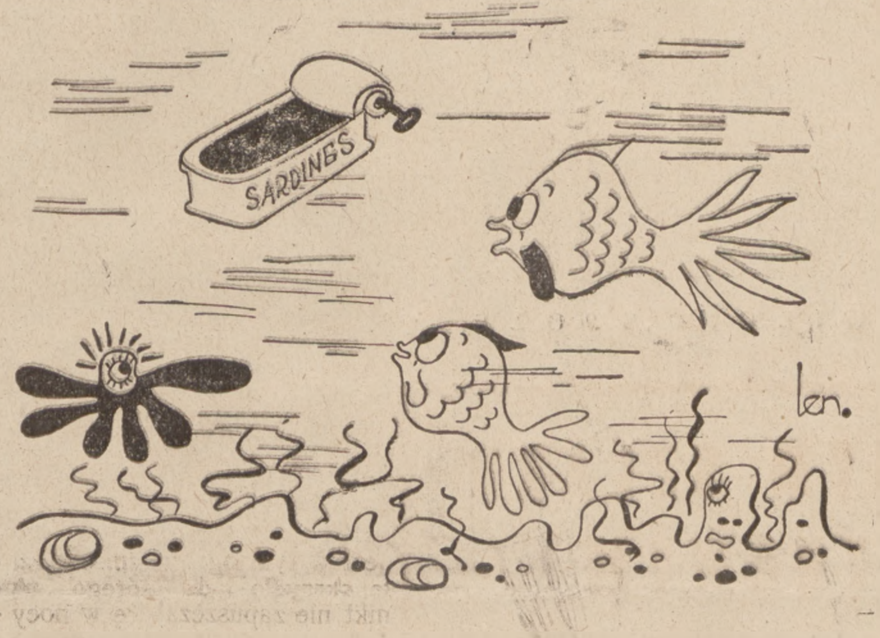
●

Zbieracze bloków będą na pewno w przyszłym roku chętnie żonglować nowym terminem: IMABA. Te pięć liter to po prostu: Internationale Markenausstellung Basel, a więc międzynarodowa wystawa znaczków, która odbędzie się w Szwajcarii (w Bazylei) w roku 1948. Po różnych OSTROPach, DAPOSTach, VADUZach itp. będziemy mieć i IMABę.

Witold Orłowski



Znakomity muzyk Jan Maklakiewicz objął dyrekcję Filharmonii Warszawskiej, która od września rozpocznie swą działalność.



Rys. Jan Lenica

— Patrz, zbroja!..

NOWY KONKURS „TYGODNIA“

Wobec tego, że termin nadsyłania rozwiązania trzeciej zagadki upływa dopiero 15 bm. przeto rozwiązanie jej i nazwiska nagrodzonych podamy w numerze następnym. Tak, jak przewidywaliśmy wpłynęło już kilkaset odpowiedzi, wobec czego ilość nagród zostanie powiększona.

Dziś zamieszczamy zagadkę Nr 5. Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia, należy przesłać do Redakcji „Tygodnia“ do dnia 26 bm.

Wśród Czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie:

5 nagród książkowych

oraz 10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.



Powyższą zagadkę projektowała p. Zofia Marcinowiczowa (Leśna, pow. Lubań).

V KONKURS „TYGODNIA“ *na rozrywki umysłowe*

W Nr 28 (52) „Tygodnia“ ogłosiliśmy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów, nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia“ Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br. Konkurs ten, tak jak poprzedni połączony jest z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu wytypują trzy najlepsze zadania i podadzą na specjalnym kuponie, który zamieścimy przy zakończeniu tego konkursu.

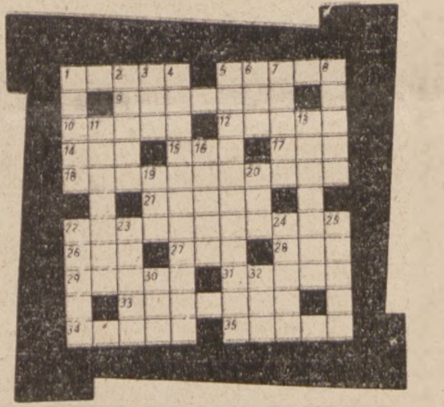
Zadania nadesłane na konkurs poprzedni, a nie zamieszczone dotychczas będą wykorzystane w obecnym konkursie.

Prosimy o nadsyłanie nowych zadań.

KRZYŻÓWKA

Poświęcam p. Ludwikowi Jasińskiemu w oczekiwaniu na krzyżówkę o mniejszej ilości czarnych pól.

Erazm Grójnacki



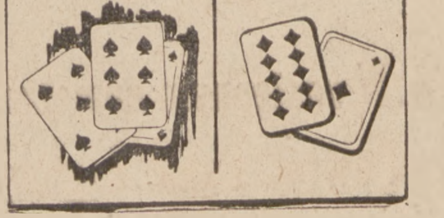
ZNACZENIE WYRAZÓW POZIOMYCH:

1. Samolub, egoista. 5. Smaczny napój. 9. Miasto portowe w Brazylii. 10. Sztuczne podniesienie terenu. 12. Opiekunka sztuki dramatycznej. 14. Córka Zeusa. 15. Miasto w Peru. 17. Pierwiastek chemiczny srebrzysty. 18. Nauka o śmierci. 21. Zmniejszenie objętości komórek narządu. 22. Urządzenie ścieków podziemnych w mieście. 26. Zaimek. 27. Rzeka na Pomorzu Zachodnim. 28. Dopływ Renu w Szwajcarii. 29. Pancerz. 31. Okresy składania ikry przez ryby. 33. Poważna i szanowna kobieta. 34. Twórca panoramy racławickiej. 35. Najpierwotniejsza forma skrzypiec.

ZNACZENIE WYRAZÓW PIONOWYCH:

1. Władza uniwersytecka. 2. Zbiornik. 3. Okresy historyczne. 4. Posiadacz kapitału. 5. Substancja przyśpieszająca szybkość procesów chemicznych. 6. Dopływ Tybru. 7. Zapustna zabawa zimowa. 8. Załoga statku. 11. Dowódcy kozaccy. 13. Większa litera początkowa 16. Miasto nad Wartą. 19. Imię cygańskie. 20. Dopływ Wołgi. 22. Orzech kokosowy. 23. Prawa logicznego myślenia. 24. Dawny ustrój w Rosji. 25. Ciężki wóz dwukołowy. 30. Wół tybetański. 32. Powieść Rodziewiczówny wspak.

FIGIELEK REBUSOWY



TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł. półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej
R. S. W. „PRASA“, Z. G. W-wa, Smolna 12 B-37039

PO MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH W GDAŃSKU





P A W I L O N „S P O Ł E M"

...NA DAWNYM SZLAKU BURSZTYNOWYM

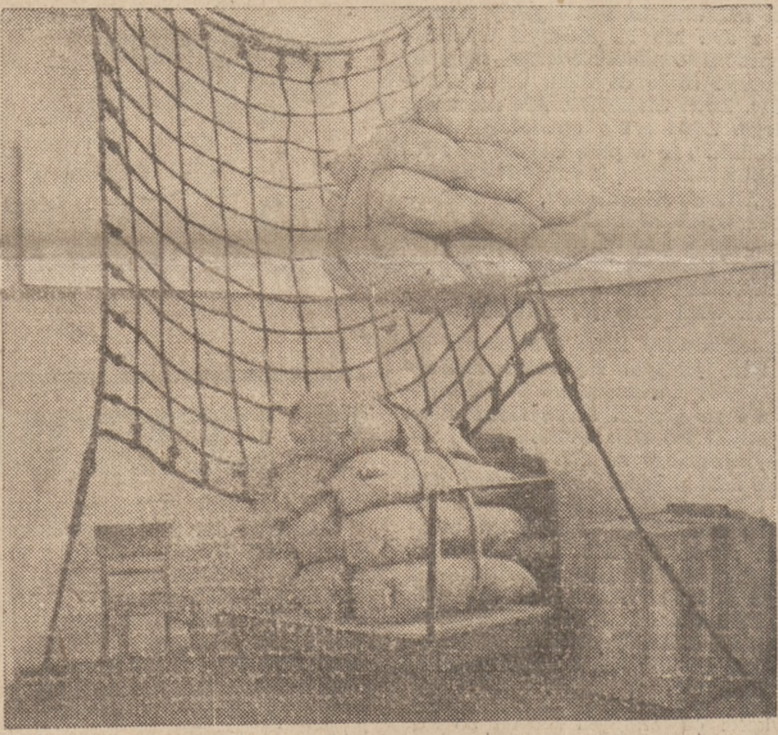
Oświadczenie nacz. dyr. Międzynarodowych Targów dla „Tygodnia".

Nacz. Dyrektor Międzynarodowych Targów w Gdańsku zapytany przez współpracownika „Tygodnia", co może powiedzieć o Targach oświadczył:

„Międzynarodowe Targi Gdańskie są nawrotem do tradycji gospodarczych odwiecznego miasta, leżącego na dawnym szlaku bursztynowym, którym szły towary z zachodu do bogatych krajów dorzecza Wisły, aby tu, drogą wymiany za polskie zboża i produkty ziem polskich przynieść korzyści materialne jego mieszkańcom. Dziś Targi wyrosły ponad oczekiwane pierwotnie rozmiary, o czym świadczy choćby wielka liczba wystawców. Wicepremier Gomułka, nasz protektor i Marszałek Rola — Żymierski przez blisko cztery godziny zwiedzali tereny Targów; towarzyszyli im liczni ministrowie naszego rządu i korpus dyplomacji z dziekanem ambasadorem Lebiediewem na czele".

„Poważne stoiska przemysłowe w 9-ciu pawilonach i kioskach w Gdyni, barwne stoiska przemysłu artystycznego, rzemiosła i sztuki ludowej, wybudowane na ruinach dawnego kasyna w Sopocie, na tle perspektywy Bałtyku i mola ciągną rzesze zwiedzających".

„Celem naszym są transakcje międzynarodowe, w ramach wszystkich trzech sektorów gospodarki, państwowego, spółdzielczego i prywatnego, a te rozpoczęły się już w pierwszych godzinach Targów i można już dziś powiedzieć, że wystawcy obiecują sobie przekroczenie przewidzianych poprzednio transakcji. Meldowane są liczne delegacje handlowe i przemysłowe z zagranicy, a nawet i z dalekich krajów zamorskich. Targi — obudziły się do życia — jako wynik naturalnych potrzeb gospodarczych Polski i staną się w przyszłości czołowym czynnikiem naszej wymiany towarowej".



Pawilon „Społem": eksport ziół zagranicznych



Pawilon duński

TYDZIEŃ

W następnym numerze: Powrót Pana Zagłoby